

kamena

LUBLIN 29 X 1978 NR 22 (664)

DWUYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

PAPIEŻ IAN PAWEŁ II



O wyborze nowego papieża — głowy kościoła rzymsko-katolickiego piszemy na str. 2 w „Notatniku”.

DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

NARÓD I SPOŁECZEŃSTWO

Tadeusz Mencil

NA powstanie niepodległości państwa polskiego w 1918 r. złożyły się dwa czynniki — zewnętrzny i wewnętrzny. Zewnętrzny — to sprzyjające stosunki międzynarodowe tego okresu, polityczne i wojenne klęska trzech zaborców i Wielka Rewolucja Październikowa w Rosji. Wewnętrzny — to naród polski, jego potencjał ludnościowy i gospodarczy, jego dojrzałość polityczna, jego zdolność do walki o niepodległość i stopień uświadomienia narodowego. Nasuwają się pytania, jakie więzi łączyły różne grupy i ziemie polskie pozostające od wiekuset nieraz lat pod obcym panowaniem? Czy okres niewoli nie spowodował odrębności rozwoju poszczególnych ziem i społeczności polskich oraz wrośnięcia ich w organizmy państw zaborczych? Uwagi poniższe są próbą odpowiedzi na niektóre z tych pytań.

Okres 1795—1864 obfitował w nieustanne próby walki spiskowej i zbrojnej o przywrócenie niepodległej Polski. Tylko w czasie Księstwa Warszawskiego naród odzyskał ograniczone warunki niepodległości państwowej, a w czasie Królestwa Polskiego doby konstytucyjnej (1815—1830) możliwości roz-

woju gospodarczego i kulturalnego. Powstała narodowa od Insurekcji Kościuszkowskiej do powstania styczniowego wciągały do udziału Polaków ze wszystkich zaborów, ale, toczone samotnie, przynosiły klęski i prześladowania — emigrację najgorętszych patriotów, egzekucje schwytych powstańców, zsyłki na Sybir, przesiedlenia w głąb Rosji dziesiątek tysięcy rodzin szlacheckich z Litwy, Białorusi i Wołynia. Zaborca pruski nie stosował egzekucji i zsyłek, ale starał się wyzwać szlachtę polską z majątków i zniewolnić ziemie polskie przez kolonizację niemiecką w ramach Drang nach Osten.

Okres ten przyniósł narodowi polskiemu duże straty, ale jednocześnie zaznaczył się proces budzenia się świadomości narodowej wśród polskiej ludności Śląska, Warmii i Mazur. W tym okresie dokonano się także we wszystkich zaborach uwłaszczenie chłopów, co stworzyło możliwości prawidłowego rozwoju gospodarczego ziem polskich mimo podzia-

Dokończenie na str. 4—5

Teatr przeciw sobie

Józef Jasielski

ZNARASTAJĄCYM niepokojem obserwuję sytuację polskiego teatru. Dzieją się tu rzeczy dziwne i groźne. A wszystko to przy wymownym milczeniu samych twórców i zadziwiająco historycznym, oskarżycielskim tonie naszej krytyki teatralnej. Krytycy, jednomyślni jak nigdy przedtem, to nieczym Rejtan usiłują zagrozić drogę „reżyserom-terrorystom”, to znowu w poszukiwaniu kozła ofiarnego odsadzają twórców od cześci i wiary, a najchętniej od kwalifikacji. Oczywiście, nie można im odmówić trafności spostrzeżeń, szlachetnej pasji w tropieniu anomalii, poczucia odpowiedzialności za nasze życie teatralne, gdyby... Właśnie! Gdyby to wszystko rzeczywiście poringalo za sobą uzdrawiające zmiany. Czy zatem owo nieskuteczne działanie krytyki, ów jakże nie-

Dokończenie na str. 10

ARCHITEKTURA NA WSI?

A KTO JĄ PROJEKTUJE?



...pod tym tytułem drukujemy na str. 8—9 artykuł Tadeusza Jasińskiego

Fot. J. Opolski

z notatnika

10 X. Jestem w Bydgoszczy. Wychodzący tu tygodnik społeczno-kulturalny „Fakty” obchodzi swoje dwudziestolecie. Powstał on z połączenia dwóch pism: „Faktów i Myśli” oraz „Pomorza”. Dwudziestolecie, a więc jubileusz.

Święto „Faktów” zaczyna się od sympozjum. Doc. dr Bronisław Gołębiowski wygłasza referat na temat roli i zadań regionalnej prasy społeczno-kulturalnej w Polsce, mówi o jej daniu wczorajszym i dzisiejszym. Podkreśla, że w okresie międzywojennym czasopisma regionalne „stały się, w swym nurcie postępowym i lewicowym, ośrodkami coraz wyraźniej klasowo spolarzowanej polemiki politycznej i społeczno-kulturalnej na temat kształtu ustrojowo-gospodarczego II Rzeczypospolitej i właściwego gospodarzenia tak ciężko wywalczonym niepodległym bytem narodowym”. Po wyzwoleniu przez Armię Radziecką i Wojsko Polskie części Polski prasa społeczno-kulturalna i literacka powstaje prawie natychmiast w Lublinie. „Zubożeniem — stwierdza doc. dr B. Gołębiowski — krajobrazu kultury narodowej było znaczne ograniczenie ilości regionalnej prasy kulturalnej w latach 1949—1955. Nastąpiło to wbrew tradycjom kultury narodowej i dotychczasowej roli pism w jej rozwoju. Szybko więc sytuacja taka okazała się być nie do utrzymania. Lawinowy powrót do zakładania pism społeczno-kulturalnych w różnych regionach kraju w połowie lat pięćdziesiątych, połączony z eksplozją ruchu towarzyszących kulturalnych i tworzeniem się regionalnych środowisk literacko-artystycznych na socjalistycznych podstawach, był jednym z ważnych przejawów nienaruszalności kardynalnej zasady rozwoju naszej kultury, wypracowanej przez XIX wiek. Zasady, że poczucie aktywnego, współwzajemnego uczestnictwa w kulturze narodowej jest niezbywalnym elementem świadomości i postawy polityczno-obywatelskiej Polaków wszystkich części kraju, w tym jak się okazało, szczególnie na nowych ziemiach przywróconych polskości. Poczucie to daje m. in. w dużym stopniu funkcjonowanie regionalnej prasy społeczno-kulturalnej i własnych środowisk twórczych gromadzących się wokół niej”.

Pisma regionalne — mówi dalej referent — „są specyficznymi instytucjami socjalistycznej demokracji kulturalnej, przeciwdziałającymi nadmiernej unifikacji i standaryzacji form i treści uczestnictwa w kulturze oraz tworzeniu się monopolistycznych środowisk literacko-artystycznych czy w ogóle kulturalnych. Jest to bardzo ważna funkcja tych pism w tworzeniu bogatego kształtu socjalistycznej kultury polskiej”.

Doc. dr B. Gołębiowski wskazuje, że „regionalizm socjalistyczny nie ma w sobie nic z separatyzmu regionalnego, partykularyzmu i prowincjonalizmu. Jest ważną formą realizacji jedności kultury narodowej w jej wielobarwnej różnorodności. Jest formą spełniania przez kulturę funkcji integracyjnych, wiotwórczych na zasadach współpartnerstwa i współodpowiedzialności wszystkich uczestników procesu kulturalnotwórczego”.

Dalej mówca charakteryzuje w kilku słowach poszczególne pisma. O „Kamieniu” mówi: „Kamień” z 45-letnią już tradycją, jeszcze z okresu międzywojennego, dziś wydaje się spełniać rolę, może jak żadne inne z bratnich pism, arki przyniesienia między dawnymi a nowymi laty. Jednym z charakterystycznych jej dokonań w ostatnich latach jest animacja i prezentacja prób twórczych współczesnego ruchu twórców ludowych. Nie ogromnej tradycji podtrzymywana umiejętnie ożywiła coś być może cennego i ważnego dla przyszłości kultury socjalistycznej”.

W zakończeniu swego wystąpienia doc. dr B. Gołębiowski precyzuje zadania prasy społeczno-kulturalnej: walka o marksistowsko-leninowskie, socjalistyczne treści naszej kultury; animowanie, popieranie i upowszechnianie osiągnięć ruchu społeczno-kulturalnego w danym regionie i całym kraju; kształtowanie środowisk twórczych i umacnianie istniejących tam kadr działaczy i

pracowników kultury; wiązanie form współdziałania motorycznych sił normotwórczych naszego społeczeństwa (klasa robotnicza) z milionową rzeszą inteligencji na rzecz prowadzenia dialogu o kształcie polskiej kultury socjalistycznej, życie problematyką regionu widzianą z perspektywy całego narodu, kraju, partii i problemów świata.

W dyskusji, która wywiązuje się po referacie doc. dr. B. Gołębiowskiego i wystąpieniu redaktora naczelnego „Faktów” Jana Górecy-Rosińskiego, który mówi o miejscu „Faktów” w panoramie prasy społeczno-kulturalnej, zabierają głos: S. Wilczek („Poglądy”), K. Krzyżagórski („Kontrasty”), W. Rogowski („Głos Pracy”), T. Kajan („Nadodrże”), J. Wawrzak („Odgłosy”) i niżej podpisany („Kamień”).

K. Krzyżagórski stwierdza, że kiedy w dawnych „Kontrastach” przeczytał fragment prozy E. Redzińskiego (chodziło o „Konopielkę”) nie zwrócił na nią żadnej uwagi. Autora uznają dopiero wtedy, kiedy „Konopielkę” zaczęła drukować „Twórczość”. Wniosek nasuwa się sam: nobilituje nie prasa regionalna, ale centralna.

Trudno się z tą opinią zgodzić. Na przykładzie „Kamienia” wskazuję, ilu to wybitnych dziś pisarzy debiutowało, lub zaczynało drukować swe pierwsze utwory właśnie w „Kamieniu”. Świetna proza czy świetna proza przebiega sama, niezależnie od tego, gdzie jest drukowana. „Kamień”, i ta dawniejsza i ta dzisiejsza, szczególnie preferuje twórczość młodych. Kiedy ogląda się roczniki „Kamienia” przedwojennej, widzi się wiele wspaniałych nazwisk, ale nie wszystkie spośród nich były tak wspaniałe wówczas. Kto wie, jak będzie za lat dwadzieścia, trzydzieści? Ktoś, kto wówczas będzie wertował dzisiejsze zsywki, też może powiedzieć: jakie znakomite pióra gościły wówczas na łamach pisma!

W dyskusji przewijają się różne myśli, zarysowuje się nawet pewien spór: jedni redaktorzy pragną w piśmie pokazywać najistotniejsze problemy swego regionu, preferować własnych twórców, wyszukiwać na miejscu talenty, inni zaś szukają piór poza swym regionem, które to pióra podejmują tematykę nie zawsze z danym regionem związaną. Ktoś mówi, że takie pismo można wydawać w każdym mieście, a najlepiej w Warszawie, skąd pochodzi najwięcej dziennikarzy, oszczędzi się wówczas wydawania pieniędzy na znaczki pocztowe.

Stanowisko Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, przedstawione przez z-cę kierownika, Michała Atlasa, jest tu jednoznaczne. Regionalna prasa społeczno-kulturalna musi przede wszystkim spełniać służebną rolę wobec własnego terenu. Ale to wcale nie oznacza, że pomocą w tej mierze nie mogą służyć ludzie pióra zamieszkali w innych regionach kraju.

Wieczór — to spotkanie z władzami partyjnymi i administracyjnymi, dekada zasłużonych dziennikarzy „Faktów” odznaczeniami państwowymi i lokalnymi, lampka wina (i wódki) u wojewody, a później, do drugiej w nocy, pogwarki w piwnicach klubowych. Tutaj poznaję Tadeusza Filipowicza, sekretarza prac ideowo-wychowawczej KW PZPR w Toruniu. Jest to znajomość miła i wruszająca, okazuje się bowiem w trakcie rozmowy, że Tadeusz, kilka lat po mnie, kończył to samo Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie, mieliśmy tych samych wykładowców, podobne przeżycia. A więc wspomnieniem nie ma już końca!

16 X. Wieczorem radio i telewizja informują, że kardynał Karol Wojtyła, dotychczasowy arcybiskup metropolita krakowski, zostaje wybrany kolejnym papieżem Kościoła rzymsko-katolickiego. Przybiera on imię Jana Pawła II. Karol Wojtyła jest pierwszym od 455 lat papieżem nie — Włochem. Poprzednim papieżem nie — Włochem był Holender, Adrian VI, który panował krótko w latach 1522—1523.

17 X. Przywódcy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Edward Gierek, Henryk Jabłoński i Piotr Jaroszewicz, kierują do nowo obranego papieża depezę gratulacyjną, która głosi m. in.: „Dono-

śła decyzja kardynalskiego konklawe sprawiła Polsce wielką satysfakcję. Na tronie papieskim po raz pierwszy w dziejach jest syn polskiego narodu, budującego w jedności i współdziałaniu wszystkich obywateli wielkość i pomyślność swej socjalistycznej Ojczyzny; narodu znanego w świecie ze szczególnego umiłowania pokoju, narodu będącego gorącym orędownikiem współpracy i przyjaźni wszystkich ludów, narodu, który wniósł powszechnie uznawany wkład w rozwój ogólnoludzkiej kultury”.

W Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie Jan Paweł II odprawia nabożeństwo. Po zakończeniu koncelebrowanej mszy papież wygłasza swoje pierwsze orędzie skierowane do kardynałów Kościoła i do świata. Podkreśla trwałe i niezmienną znaczenie drugiego Soboru Watykańskiego i stwierdza, że realizacja doniosłych wskazań i uchwał Vaticanum Secundum nie może być uznana za zakończoną. Jan Paweł II z naciskiem mówi o potrzebie rozszerzenia czynników kolegialności w Kościele. Przechodząc do problemów współczesności papież oświadcza, że zadaniem Kościoła jest „niesienie konkretnego wkładu w trwałe i dominujące w świecie sprawy pokoju, rozwoju sprawiedliwości międzynarodowej”. Nie chodzi przy tym o „jakiegokolwiek intencje ingerencji politycznej lub uczestnictwa w zarządzaniu sprawami doczesnymi”. Kościół kieruje się wyłącznie motywacjami religijnymi i moralnymi, pragnąc umacniać podstawy duchowe, na których — zgodnie z objawami — powinna się opierać społeczność ludzka. „Zadanie to — podkreśla Jan Paweł II — wydaje nam się tym bardziej pilne w związku z utrzymującymi się nierównościami i nieporozumieniami, które z kolei są przyczyną napięć i konfliktów w licznych częściach świata, niosąc w sobie zagrożenie najstraszniejszymi katastrofami”.

„Powinniśmy — mówi dalej papież — dążyć wszystkimi siłami do tego, aby wszystkie formy niesprawiedliwości, które się przejawiają w naszych czasach, zostały poddane wspólnym rozważaniom w celu znalezienia środków zaradczych, tak, aby wszyscy mogli prowadzić życie godne człowieka”.

W orędziu znalazły się też wyrazy gorących uczuć dla ziemi rodzinnej papieża — Polski i jej obywateli, a w szczególności dla duchowieństwa i wiernych Kościoła krakowskiego. „Są to pozdrowienia, w których wspomnienia, uczucia, nostalgia i nadzieja łączą się nierozdzielnie”.

20 X. Prasa polska publikuje depezę Jana Pawła II do najwyższych władz PRL, w której nowo wybrany papież dziękuje Edwardowi Gierkowi, Henrykowi Jabłońskiemu i Piotrowi Jaroszewiczowi za nadesłane gratulacje. Jan Paweł II pisze m. in.: „Jestem całym sercem z umiłowana Polska, ojczyzną wszystkich Polaków. Gorąco pragnę, aby rozwijała się duchowo i materialnie w pokoju, sprawiedliwości i szacunku dla człowieka”.

Tymczasem prasa całego świata zamieszcza całą lawinę komentarzy związanych z decyzją, dość niespodziewaną, watykańskiego konklawe i pierwszym orędziem nowego papieża. „W Duchu Soboru” — to główny akcent komentarzy gazet włoskich. „Unita” stwierdza, że po pierwszym dniu pontyfikatu Jana Pawła II, co sam fakt wyboru kardynała reprezentującego formację kulturalną, doświadczenie religijne, a także strefę geograficzną całkowicie inne i dalekie od doświadczeń ściśle zachodnich, które przez poprzednie dziesięciolecia legły u podstaw Kościoła rzymskiego. W szwajcarskich komentarzach prasowych eksponuje się przede wszystkim opinie, że wybór niewłoskiego papieża „udowodnił uniwersalizm Kościoła”.

Z prasy krajowej cytuję celny fragment artykułu „Polityka”: „Papieżem zostaje nie tylko członek narodu polskiego w jego rozumieniu tradycyjnym, narodu, trwającego od tysiąclecia w określonym miejscu Europy. Ważne że naród ten tworzy dziś rozwijającą się społeczność socjalistyczną. Jego struktura ekonomiczna, jego ideały i wzory różnią się zasadniczo od struktur i wartości świata kapitalistycznego, ale nie różnią się od humanistycznych ideałów wielu katolików na całym świecie. Tu między Bugiem a Odrą tworzą się też podstawy współpracy między socjalistyczną władzą państwową a Kościołem”.

SZPALTA O SPORCIE

POLKA Wanda Rutkiewicz, uczestnicząca w międzynarodowej wyprawie, stanęła na najwyższym szczycie świata Mount Everest, zwanym też Czomolungmą albo po nepalsku Sagarmatha, wznoszącym się 8848 m nad poziomem morza. Stało się to dwadzieścia pięć lat po zdobyciu go przez pierwszych himalaistów — Hillarego i Tenzinga.

Wanda Rutkiewicz jest pierwszą Europejką, która weszła na Mount Everest. Nie był tam też dotychczas żaden Polak. A więc absolutny rekord Polski i rekord Europy kobiet należy do niej, gdyby używać określeń czysto sportowych.

Himalaizm jednak to sport specyficzny, wymagający wielkiej wszechstronności. To nie tylko taternictwo, a nawet alpinizm. Wspinaczka górską w Tatrach to wysiłek kilkunastocieczny nawet kilkudziesięciodzinny z kilkoma kilogramami żywności i sprzętu turystycznego. Nieco więcej żywności i sprzętu muszą wynieść do kolejnych obozów alpinistów, by zaatakować Mont Blanc, najwyższy szczyt Europy. Natomiast wyprawy himalaistyczne są już wielotygodniowym wysiłkiem. Wymagają one nie tylko umiejętności wspinaczkowych, wytrzymałości marszowej, lecz także wielkiego wysiłku organizacyjnego i finansowego. Wynajęcia wielu tragarzy, którzy muszą nieść zapasy żywności na kilka tygodni, zakładania baz etapowych, z których donosi się wyżej wszystkie potrzebne rzeczy...

Nie należy też zapominać o tym, że na tak dużych wysokościach nie ma już czym oddychać. Ciśnienie powietrza, które obniża się wraz z wysokością u nas na nizinach po ok. 10 mm słupa rtęci na 100 m, wyżej spada do połowy atmosfery, a na wysokości ponad ośmiu tysięcy metrów — do jakiegoś ułamka atmosfery. Obciążenie więc himalaistów i ich tragarzy — szperów zwiększa się więc o zapasy tlenu, który trzeba przynieść ze sobą, by móc iść wyżej.

A jeszcze bardzo niskie temperatury. Cały wysiłek odbywać się może w kilkunastostopniowym mrozie, a po drodze nie ma schroniska górskiego. Są tylko namioty i śpiwory noszone na plecach własnych i szperów.

Kiedy zsumuje się te wszystkie trudności, można dopiero zrozumieć częściowo miarę wysiłku, który musiała pokonać nasza himalaistka, by być pierwszą Europejką i pierwszym Polakiem (nie tylko Polką) na szczycie świata.

A doszła do tego intensywnym treningiem i zamilowaniem. Zaczynała, zapewne jak wszyscy turyści, od Beskidów, Bieszczadów, Sudetów, Tatr. Pokochała góry i pokochała ten wysiłek, jaki daje turystyka górską. Z turystów górskich bowiem wyłaniają się taternicy, z taterników — alpinści, z alpinistów nieliczni stają się himalaistami.

A ta dziedzina sportu górskiego ma u nas już licznych zwolenników. Polacy na Kaukazie, w Andach, w górach Pamiru mają już zdobyte liczne szczyty i nowe drogi od trudnych stron, mają też pierwszą w historii wyprawę kobiecą na szczyty olbrzymi, którą kierowała obecna zdobywczyni Czomolungmy.

Kiedyś jeden ze zdobywców wielkich szczytów zapytany, dlaczego to robi, dlaczego daje z siebie tyle wysiłku, dlaczego ryzykuje życiem, by zdobywać szczyty, odpowiedział: dlatego, że są.

Dążeniem człowieka jest zdobywanie celów nieosiągalnych. Cele kiedyś nieosiągalne zostają osiągnięte. Granice ludzkich możliwości stają się coraz większe we wszystkich dziedzinach. Nie tylko w sporcie, lecz także w nauce, w technice. Jeśli te możliwości wykorzystywane są dla dobra ludzi, a nie przeciw ich życiu czy wolności, stanowią dowód postępu.

tgw

W kulturze nieźle ale...

Ireneusz J. Kamiński



Władysław Klepka w puławskiej „Galerii plakatów”

Fot. M. Spóz

I NAUGURACJA kolejnego roku kulturalnego zachęca do różnego rodzaju bilansów, formułowania ocen oraz prognoz. Od lat stosujemy przy tym pewien schemat analityczno-wartościujący który obejmując takie szczególne sprawy, jak baza, kadra, ruch społeczny, upowszechnianie kultury, prowadzi do niezmiennie bilansowych wniosków: jest nieźle, choć mogłoby być lepiej, postęp widzimy, ale nie we wszystkich dziedzinach.

Obecnie dowiadujemy się zatem, że w ramach realizacji programu rozwoju kultury na Lubelszczyźnie oddano do użytku w minionych latach: Kluby MPiK w Puławach i Lublinie, trzy kluby osiedlowe, Okręgowe Warsztaty Kinotechniczne, Muzeum im. Bolesława Bieruta i Muzeum Wincen- tego Pola. Ponadto uruchomiono Muzeum Pożar- nictwa w Kazimierzu Dolnym, nie posiadające ob- sady kadrowej, Muzeum Regionalne w Kraśniku, a w trakcie stawiania się jest Muzeum Złotnictwa we wspomnianym Kazimierzu, rosnące po trosze na zasadzie indywidualnej inicjatywy polonijnej, sprze- żonej racjonalnie z interesem publicznym.

Na dodatek udało się umieścić w nowych obiek- tach cztery filie naszej biblioteki wojewódzkiej i przekazać bibliotece powiatowej całkiem nowy budy- nek. Identyczne placówki w Rykach, Kraśniku i Swidniku też rozpoczęły pracę w nowych i funk- cjonalnych lokalach. Kilkanaście bibliotek wiejs- kich działa w lepszych niż dotąd warunkach, a znacznie więcej otrzymało pełne wyposażenie.

Ciepłym uczuciem kwitujemy poza tym informac- je, że już w bieżącym roku znakomicie poprawią się warunki pracy zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej oraz Muzeum Okręgowego, które po wie- lu kolomyjach remontowych wprowadzi się na po- wrót do swojego starego skrzydła w Zamku. Lad- nie też rozwija się Muzeum Wsi Lubelskiej, acz-

kolwiek trudno powiedzieć, czy zostanie oddane społeczeństwu w przewidzianym terminie — ze względu całkowicie niezależnych od tej instytu- cji, a równoznacznych z niemożliwością wykwa- terowania z niektórych starych obiektów dotych- czasowych ich użytkowników.

W sumie jest więc nieźle, a może nawet bardzo dobrze, chociaż... Chociaż: „Estrada”, Teatr Lalki i Aktora, Studio Wizji i Ruchu, Biuro Wystaw Ar- tystycznych, Wojewódzki Dom Kultury, szkoły mu- zyczne w Swidniku i Puławach — wszystkie te in- stytucje wymagają szybkiej poprawy warunków lokalowych, szczególnie zaś obawy budzi przyszłość Teatru Muzycznego w Lublinie, który w najlepszym przypadku będzie zmuszony do zamknięcia sceny, na lat kilka, w najgorszym zaś może nawet na de- kadę. Rzecz w tym, że przewidywany remont Gar- nizonowego Klubu Oficerskiego wyeksmituje ope- retkę, sublokatora GKO, w sını dal, jeśli nie przyjm- ie jej do siebie jedyny w tej sytuacji realny kontra- heat, jakim widzi się Dom Kultury Kolejjarza, naturalnie, po adaptacji jego pomieszczeń. A na to potrzeba 5 mln zł, no i zapewne nieco dobrej woli. Później Teatr Muzyczny objąłby w stałe posłada- nie obecny budynek naszego teatru dramatycznego, który wraz z filharmonią przeniósłby się do obiek- tu wznoszonego właśnie między Al. Racławickimi a ul. Sikłodowskiej, gdzie obie te instytucje znalaz- łyby godziwe warunki pracy. Oczywiście wtedy, kie- dy spełniony będzie pewien dodatkowy warunek: pozyskania kilkudziesięciu mieszkań dla powięk- szonych zespołów obydwu placówek. Zresztą już teraz kultura lubelska pokłoniłaby się każdemu, kto dałby jej 50 brakujących mieszkań. Przekracza to jednak możliwości władz wojewódzkich.

Teatr się przecież wznosi ogromny, więc nie jest źle. Chociaż: terenowe domy kultury i kluby „Ru- chu” oraz „Rolnika” działają z reguły w skrom- nych, albo wręcz fatalnych warunkach lokalowych, a i ich wyposażenie nie jest imponujące. Brakuje odpowiednich mebli, sprzętu audiowizualnego, in- strumentów muzycznych, aparatów fotograficznych i filmowych z „oporządzeniem”, sprzętu rekrea- cyjnego oraz sportowego, różnego rodzaju urządzeń do zajęć na wolnym powietrzu — bo to i środki na owe cele są za małe, a ograniczenia w sprzedaży wielu z wymienionych artykułów też robią swoje.

Niemniej jednak: nawet w takich warunkach, przy odrobinie inicjatywy i przekonania, przy kon- sekwencku i wyobraźni można sporo zrobić, czego przykładem pomysł Andrzeja Mejnartowicza, szefa kultury w Puławach, który w grudniu 1976 roku zaczął, a od lutego br. stałe prowadzi przy pomocy tamtejszego BWA „Galerię plakatów”. Gdzie? W halu Urzędu Miejskiego, wizytowanym w dni powszednie przez setki petentów, którzy chcąc, lub nie chcąc, z ciekawości czy konieczności — czas się dłuży — oglądają plakaty najwybitniejszych pol- skich, ale i zagranicznych autorów, a także Władysława Klepkę z Puław. W swoich zbiorach galeria posiada już 1000 plakatów: Tomaszewskiego, Staro- wiejskiego, Swierzego, Mroszczaka, Młodzieńca, Lenicy, Cieśliewicza, Aleksuna, Czerniawskiego... oraz reprints świetnego plakatu radzieckiego z lat dwudziestych i późniejszych.

No tak, ale ludzie z inicjatywą i wyobraźnią wo- łą szukać szczęścia w branżach odmiennych od kul- tury, chociaż: podnosi się poziom wykształcenia pracowników tego resortu. Ale ci z najwyższym skupiają się w placówkach typu WDK. W Gmin- nych Ośrodkach Kultury jest ich mało, a poza tym instytucje te cierpią na permanentne zmiany kad- rowe: prawie 60 proc. ludzi pracuje tam poniżej trzech lat. O wykształceniu i rotacji w wiejskich klubach kultury nie ma co mówić, chociaż warto by pomówić o dostosowaniu modelu owych placó- wek do aktualnych potrzeb tamtejszej społeczności, która już nie za bardzo garnie się do tańców lu- dowych, klubowej telewizji i kawy, do spotkań z przypadkowymi ludźmi. A nieprzypadkowi doma- gają się za spotkanie i trzech tysięcy.

No i jeszcze taki problem: Kraśnicka Fabryka Łożysk Toczonek żywo i praktycznie zainteresowa- ła się plenerem, który od dłuższego czasu odbywa się rokrocznie w mieście, kilka lubelskich zakładów pracy godnie znalazło się wobec tej wielkiej impre- zy, jaką były finalizowane właśnie Lubelskie Spot- kania Plastyczne '76, można mieć nadzieję, że Lu- belskie Zagłębie Węglowe także nie straci z pola swego życzliwego widzenia spraw kultury, jak to od dawna czyni Wojewódzka Rada Związków Za- wodowych — ale przy tej okazji trzeba zapytać, gdzie są inne zakłady produkcyjne Lubelszczyzny, dlaczego większość ogranicza się do wspierania kul- tury na własnym podwórku?

I tu dochodzimy do meritum sprawy rozwoju kul- tury w naszym regionie. Takie opozycje, jakie przed- stawił ten tekst, można mnożyć długo — zgodnie ze wspomnianą tradycją, ale też nie sprzeniewierza- jąc się rzeczywistości. Bo faktycznie: wiele się ro- bi, wiele zrobić nie można, tak to zwykle bywa, a szczególnie wówczas, kiedy kraj musi rozwiązywać poważne problemy gospodarcze. Pora więc powie- dzieć jednoznacznie, że bez wsparcia ze strony zak- ładów pracy kultura nie jest w stanie rozwijać się na miarę naszych oczekiwań, że różnego rodzaju kłopoty — materialne i kadrowe, programowe i mo- delowe — nie będą maleć, jeśli baza ograniczy wspomaganie na d b u d o w y (czytaj: kultury) do gestów dobrej woli. Tych zaś, którzy być może za- pomnieli nieco, jak w tej sferze być powinno, od- syłam do prac Lenina.

Oczywiście, nie bawiac się w takie subtelności można by oprzeć działalność kulturalną na zasa- dach komercji, jak to zresztą zaproponował nie- dawno jeden z publicystów na łamach „Literatury”. Ale czy o takie rozwiązania chodził w naszym sys- temie społecznym?

Przez dwa dni, 7 i 8 października, trwały w Lublinie Wojewódzkie Prezentacje Teatrów Dramatycznych. Chodzi oczywiście o teatry biorące udział w Ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich, który został zorganizowany dla uczczenia 35-lecia PRL. Przebiegający pod pa- tronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki, Mini- sterstwa Oświaty i Wy- chowania, CRZZ oraz Federacji SZMP, bę- dzie się ciągnął aż do połowy 1979 r. w dwóch zasadniczych pionach: teatrów dramatycznych oraz teatrów małych form, tj. teatrów poe- zji, publicystycznych, teatrów jednego aktora, kabaretów i dziecięcych teatrzyków lalkowych.

W salce teatralnej Lubelskiego Domu Kul- tury wystąpiło dziewięć

Jakie refleksje nasu- wają się po tym prze- glądzie ukazującym „stan posiadania” (w skali wojewódzkiej), o- raz zakres zaintereso- wań zespołów drama- tycznych jeżeli chodzi o repertuar. Zespołów cie- szących się dalszą — nawiąsem mówiąc — mniejszą popularnością niż rozliczne rodzaje „teatru małych form”. Przede wszystkim u- derza dbałość o am- bitny repertuar Wy- równany poziom wszystkich przedstawień wystawia dobre świadec- two i samym instruk- torom i udzielającym im opieki placówkom metodycznym. Nie budzi również — ogólnie rzecz biorąc — zastrzeżeń, poziom produkcji aktor- skich. Na pierwszy rzut oka widać, że to zespó- ły od dawna „dotarte”

Prezentacje u amatorów

zespołów, odbyło się też seminarium dla instruk- torów i uczestników Prezentacji. Teatr Szkol- ny Państwowego Tech- nikum Pszczelarskiego w Pszczeliej Woli dał spektakl „W bazylian- skiej celi” oparty na fragmentach III części „Dziadów” Adama Mi- ckiewicza, Zespół Drama- tyczny „Chimera”, z IX Liceum Ogólnokształ- cącego w Lublinie za- prezentował „Murzyna” Jerzego Szaniawskiego, a — również szkolny — zespół II L.O. w Kraśni- ku pokazał „Obrazki dla teatru jarmarcz- nego” w którym wykorzy- stano miniatury drama- tyczne Muzy Pawłow- wej. Listę zespołów szkolnych zamyka Teatr Szkolny Państwowych Szkół Budownictwa, z „Rycerzem” Henryka Bardijewskiego.

Dobrze prezentowała się grupa teatrów robo- niczych i wiejskich: zna- ny „TEMAFOR” działa- jący od lat przy Zakła- dowym Domu Kultury FSC w Lublinie — tym razem z przedstawie- niem „Rozmowy przy wyrębie lasu” J. Tyma, Teatr TOR z Domu Ko- lejjarza w Lublinie z „Oświadczeniami” Anto- niego Czechowa, Teatr ED z Lublina, który wy- stawił „Zegnął Judasz” Ireneusza Iredyńskiego, Teatr Koła Gospodyń Wiejskich i Ochotniczej Straży Pożarnej w Sul- wie pokazał „Balladę Floriana i Florka” T. Papiera, przedstawienie poszerzone jeszcze o lu- dowe przysłówki, i wreszcie — w wykon- aniu „Kalejdoskopu”, te- atru działającego przy Gminnym Ośrodku Kul- tury w Kurowie, obej- rzeliśmy „Szczęśliwe wydarzenie” Sławomira Mroźka.

o sporych umiejęt- nościach scenicznych. Inna sprawa, że często w po- szczególnych realizac- jach gubi się idea sztuki, jej poetycki czy fi- lozoficzny wymiar, a spektakl sprowadza się do warstwy gagowo- humorystycznej. No, ale to się zdarza i w nieje- dnym teatrze zawodo- wym... Natomiast cechą pozytywną wszystkich przedstawień wydało mi się autentyczne zaangażowanie członków zes- połów w teatralne przedsięwzięcia cho- czy to w niektórych przy- padkach przybierało formy jedynie „dosko- nalej wspólnej zabawy”.

W ostatnim, 9 nume- rze „Sceny”, Teresa O- grodzińska pisząc o czerwcowym sejmiku wiejskich zespołów tea- tralnych w Stoczku Łukowskim zwraca u- wagę na przedstawienie „W bazylianckiej celi” w wykonaniu wspo- mnianego już tutaj zespó- łu z Pszczeliej Woli. Nie polemizując z tą opinią chciałbym również jak o- na podkreślić działalność kierownika tego zespołu, Leona Karłowicza, nau- czyciela Technikum Pszczelarskiego, od trzydziestu lat konse- kwentnie prowadzącego teatr szkolny. Jeśli zaś chodzi o ostatnie woje- wódzkie „Prezentacje”, to najlepiej podobały mi się „Obrazki dla teatru jarmarcznego” zagra- ne przez licealistów z Kra- śnika ze względu na niekonwencjonalny do- bór repertuaru, praw- dziwie twórczą inwen- cję realizatora i inteli- gentną grę młodych wy- konawców. A w sumie — „Prezentacje” udane i wypada tylko czekać na podobny przegląd te- atrów małych form.

(m. d.)

NARÓD I SPOŁECZEŃSTWO

Dokończenie ze str. 1

ów zaborczych. Uwłaszczenie wsi ukraińskiej, białoruskiej i litewskiej pobudziło uświadomienie narodowe i wskazało na odrębność etniczną tych ziem. Ludność polska na tych obszarach, zdziśnięta w wyniku wysiedleń i przesiedleń, tworzyła już tylko wyspy wsi szlacheckich i chłopskich, a polskie dwory szlacheckie i skupiska ludności miejskiej kształtowały polskie ośrodki kulturalne. Wizja Polski w granicach z 1772 r., o którą walczyli spiskowcy i powstańcy do 1864 r., okazała się nierealna wobec aspiracji narodowych ludności nie-polskiej tzw. kresów wschodnich.

LUDNOŚĆ

Okres po 1864 r. przyniósł ogromny wzrost ludności polskiej. W 1870 r. w Królestwie Polskim na 6 mln ludności było 3 950 tys. Polaków (64,9 proc.), a w Galicji i na Śląsku Cieszyńskim — 2 722 tys. Polaków, na ziemiach zaboru pruskiego (Wielkopolska, Pomorze, Śląsk i Prusy Wschodnie) — 2 400 tys., na Litwie, Białorusi i Ukrainie — 925 tys. Ogółem Polacy mieszkali w zwartej masie na obszarze między Odrą i Bugiem, a tylko nieliczne grupy rozproszone były na ziemiach wschodnich. We wschodniej Galicji ludność polska nie przekraczała 25 proc., podobnie na Warmii i Mazurach. Rozpoczynająca się emigracja zarobkowa osiągnęła już ponad 100 tys.

Do 1914 r. ludność polska Królestwa Polskiego wzrosła do 9 730 tys. (246 proc.), Galicji — 4 215 tys. (173 proc.), zaboru pruskiego — 3 557 tys. (147 proc.) i na ziemiach wschodnich — 1 186 tys. osób (128 proc.). Ogółem ludność polska na tych obszarach wzrosła do 18 688 tys. (o 187 proc.), a emigracja zarobkowa wyniosła ponad 4 mln Polaków, głównie do Stanów Zjednoczonych.

Polacy stanowili największą po Rosjanach, Niemcach i Ukraińcach grupę narodową w Europie środkowej i wschodniej, a ludność polska wykazywała w tym okresie najwyższy stopień przyrostu naturalnego w Europie. Przyrost ten stanowił z jednej strony wynik rozwoju ekonomicznego, a więc poprawy możliwości wyżywienia ludności, oraz wzrostu liczby urodzeń (o 50 proc.), a z drugiej strony rozwoju medycyny i rozszerzenia zasad higieny wśród ludności.

Na uwagę zasługuje także wzrastająca w latach 1870—1914 przewaga ludnościowa Królestwa nad pozostałymi ziemiami polskimi. W 1870 r. ludność Królestwa wynosiła 39,5 proc. ogółu ludności polskiej, w 1900 r. już 46 proc., a w 1910 r. nawet 52,4 proc., a więc ponad połowa wszystkich Polaków mieszkała w Królestwie Polskim.

STRUKTURA

SPOŁECZNO - GOSPODARCZA PARTIE ROBOTNICZE

Okres po 1870 r. przyniósł także zmiany w strukturze społeczeństwa polskiego. Reforma uwłaszczeniowa ukształtowała ostrą kapitalistyczną na wsi i przyczyniła się do szybszego rozwoju gospodarczego. Na wsi ludność chłopska, niezależna od folwarku szlacheckiego, kształtowała się jako największa grupa producentów rolnych, w folwarkach służba rolna urastała do największej grupy pracowników najemnych.

Szlachta ziemiańska w wyniku reformy uwłaszczeniowej straciła na rzecz chłopów grunty, które dotychczas uważała za swoje, a przynajmniej z których ciągnęła korzyści pańszczyźnianoczynszowe. Obszary folwarczne w Królestwie zmniejszyły się w latach 1890—1910 z 47 proc. do 33 proc. użytków rolnych w wyniku parcelacji i częściowej likwidacji serwitutów. Podwoiła także własność ziemi drobna szlachta z 394 tys. do 740 tys. ha. Ziemiaństwo po utracie ziemi chłopskiej zostało jeszcze posiadaczem dużych obszarów rolnych i leśnych, a folwarki stały się przedsiębiorstwami kapitalistycznymi. Część zdeklasowanej szlachty odpłynęła do miast, gdzie zasiliła inteligencję i burżuazję, a nawet częściowo wsiadła w rzemiosło i robotników.

W II-ej połowie XIX w. wyrosła nowa siła społeczna — klasa robotnicza, najstarsza początkowo na Górnym Śląsku (182 tys. w 1882 r.), ale stopniowo rozwijająca się w Królestwie Polskim — 120 tys. w 1880 r., 265 tys. w 1901 r. i 365 tys. w 1913 r., w tym ogromna większość proletariatu wielkoprzemysłowego. Ponad milion pracujących stanowili robotnicy rolni, rozproszeni po folwarkach.

W wyniku dojrzwania świadomości klasowej oraz działalności partii robotniczych klasa robotnicza za-

częła brać coraz szerszy udział w walce przeciw burżuazji, a udział strajkujących w latach 1870—1890 wzrósł z 6 tys. do 120 tys. robotników. Klasa robotnicza miała niejednorodny charakter narodowościowy. Przeważającą masę wszędzie stanowili Polacy, ale na Śląsku obok Polaków byli Niemcy, w Białostoku — Białorusini, w Galicji — Ukraińcy, a wszędzie grupy robotników żydowskich.

Szczególą aktywność polityczną i klasową wykazywali robotnicy zaboru rosyjskiego. Stali się oni kontynuatorami walki narodu polskiego przeciw caratowi. Pierwsi socjaliści wierzyli w wybuch rewolucji światowej, która miała usunąć także ucisk narodowy Polaków, dlatego nie widzieli potrzeby walki o niepodległość Polski. Uważali oni, że solidaryzm głoszony przez dotychczasowe powstania polskie był wygrywany przez klasy posiadające.

Jednak zorganizowana w 1892 r. Polska Partia Socjalistyczna wysunęła hasło walki o polską samodzielną republikę demokratyczną, stanowiącą dobrowolną federację narodowości zamieszkałych na obszarach dawnej Rzeczypospolitej. PPS traktowała socjalizm jako narzędzie oddziaływania na masy robotnicze, a rzeczywistym celem partii była niepodległość. Dlatego starała się utrzymywać łączność z PPSD w Galicji oraz z PPS zaboru pruskiego, a za granicą socjaliści starali się występować w imieniu trzech zaborów.

Powstała w 1893 r. Socjaldemokracja Królestwa Polskiego uznała hasło niepodległości za „oddalenie się od celów proletariatu tak ostatecznych jak najbliższych”, a zreorganizowana od 1900 r. jako SDKPiL wysunęła jako ostateczny cel zbudowanie ustroju socjalistycznego w wyniku rewolucji międzynarodowej. Dlatego za najbardziej skuteczną drogę uznała współdziałanie z proletariatem rosyjskim w walce przeciw caratowi. Aby zacieśnić tę współpracę SDKPiL w latach następnych połączyła się z Socjaldemokratyczną Partią Robotniczą Rosji jako organizacja autonomiczna.

Rozbicie organizacyjne ruchu robotniczego miało w latach następnych ujemne skutki w działalności klasy robotniczej.

DZIAŁALNOŚĆ KULTURALNA

Coraz większą rolę w społeczeństwie polskim pod zaborami zaczęła również odgrywać inteligencja, która przejęła wiele rysów obywatelskich od szlachty, zresztą duża jej część wywodziła się z zdeklasowanej szlachty. Byli to urzędnicy, lekarze, inżynierowie, księża, dziennikarze, publicyści, pisarze, uczeni, nauczyciele prywatni i inni. Wielu z nich reprezentowało hasła pracy organicznej — obrony polskiego bytu narodowego, kultury i ekonomiki oraz pracy nad zachowaniem narodu do czasu odzyskania niepodległości. Inni stawali się ideologami powstającego ruchu robotniczego. Wielu przedstawicieli inteligencji odegrało ogromną rolę dzięki swoim talentom lub poświęceniu. Wśród nich Konrad Prószyński (Kazimierz Promyk), autor popularnego „Elementarza” (ok. milion nakładu) dzięki swej nieustraszonej działalności nauczył czytać miliony analfabetów w Królestwie. Szeroko rozwinięta i prowadzona przez inteligencję prasa polska stała się źródłem informacji o świecie, a gazety na Śląsku, Warmii i Mazurach — ważnym czynnikiem uświadomienia narodowego. Pisarze budzili swymi utworami patriotyzm; powieści historyczne H. Sienkiewicza, pokazujące wielkość narodu polskiego, stały się wstrząsem dla społeczeństwa i wzbudziły entuzjazm, a autora uczyniły jedną z najsłynniejszych postaci narodu. Obrazy Jana Matejki budziły poczucie dumy narodowej, a całe pokolenia uczyły się na nich historii Polski.

Starano się nadawać charakter ogólnopolski różnym uroczystościom, jak sprowadzenie zwłok A. Mickiewicza na Wawel (1890) i odsłonięcie jego pomników w Warszawie i Krakowie. Powszechna Wystawa Krajowa we Lwowie (1898), odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego w Krakowie (1910). Stowarzyszenia i instytucje naukowe, np. Akademia Umiejętności w Krakowie, grupowały uczonych ze wszystkich zaborów (współpracownikami AU byli m. in. Hieronim Łopaciński i Henryk Wierciński). Znaczenie ogólnopolskie miały także instytucje kulturalne, takie jak Polskie Muzeum Narodowe w Ruperswille (1870), Muzeum XX Czarotoryskich w Krakowie (1879), Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie (1875). Podobny charakter miały wielkie przedsięwzięcia naukowe — Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego oraz Słownik Języka Polskiego.

Inicjatywa i ofiarność społeczeństwa zastępowały w dużym stopniu nieistniejący mecenat państwowy. Pełniejszy rozwój narodowy był możliwy jedynie w Galicji, gdzie w okresie autonomii działały polskie urzędy, samorząd, szkoły i uniwersytety. Galicja, gdzie jeszcze w końcu XIX w. było 80 proc. analfabetów, dzięki działalności i rozpowszechnieniu szkół ludowych zmniejszyła ich liczbę do minimum. Wykształciła się tam również kadra polskich nauczycieli, urzędników, uczonych, którzy będą mogli odegrać pozytywną rolę w Polsce niepodległej.

PRÓBY WYNARODOWIENIA

Zarówno władze pruskie jak rosyjskie dążyły do ograniczenia wpływu duchowieństwa katolickiego na społeczeństwo polskie. Bismarkowskie ustawy wydane w ramach tzw. Kulturkampf w latach 1873—1875 miały charakter antypolski i usunęły duchowieństwo od nadzoru nad szkolnictwem, a samo duchowieństwo poddało nadzorowi władz. Do szkół ludowych wprowadzono język niemiecki (tylko religii w klasach I—IV uczono po polsku). Represje wywoływały opór księży i walkę społeczeństwa o język polski szczególnie w Poznańskim i na Pomorzu. Szczęśliwie dla ludności polskiej Śląska, Warmii i Mazur akcja germanizacyjna rozpoczęła się wtedy, kiedy od 20 lat w szkołach ludowych (po Wiośnie Ludów) używano języka polskiego, a ludność tamtejsza przeżyła okres uświadomienia narodowego, dzięki czemu i tam akcja germanizacyjna spotkała się z oporem ludności.

Celem wzmocnienia niemieczyny w zaborze pruskim władze powołały w 1836 r. Komisję Kolonizacyjną, która do 1914 r. otrzymała ponad miliard marek na wykup ziemi z rąk polskich i osadzenie kolonistów niemieckich. Komisja wykupiła prawie 500 tys. ha ziemi, ale tylko 28 proc. z rąk polskich, a resztę od właścicieli niemieckich. Działania te wywoływały wzmogłą akcję kółek rolniczych, powstanie spółek zarobkowych i banków polskich, których działalność zdołała uchronić własność polską od przejścia w ręce niemieckie. Rolnictwo wielkopolskie z jednego z ostatnich miejsc przesunęło się w początkach XX w. na jedno z pierwszych w Rzeczy Niemieckiej. Nie zdołano także usunąć Polaków ustawami wyjątkowymi.

W Królestwie Polskim, zdegradowanym przez władze carskie po 1864 r. do Kraju Przywiślańskiego, pozbawiono duchowieństwo katolickie większości dochodów z dóbr ziemskich i uzależniono od rządu przez wypłacanie pensji i emerytur państwowych, a biskupów poddano władzy Kolegium Katolickiego w Petersburgu. Opornych księży wywołano w głąb Rosji. W 1875 r. zniesiono w Królestwie Polskim unię, czyli obrządek grecko-katolicki, a ludność unicka zmuszono do przejścia na prawosławie. Akt ten wywołał silny opór ludności i skutki nieprzewidziane przez władze. Uniei w rezultacie długiego okresu unii i działalności księży unickich oraz sąsiedztwa z ludnością polską byli w dużym stopniu spolonizowani, a przesiedlenia wpłynęły na ich dalszą polonizację. Miała też znaczenie pomoc kleru katolickiego, który chronił opornych księży unickich.

W warunkach walki z niemieckim protestantyzmem i rosyjskim prawosławiem na nowo (od czasu kontroreformacji) ukształtowało się pojęcie Polaka-katolika, akceptowane i popierane przez kler. Pojęcie to, pożyteczne dla sprawy świadomości narodowej w okresie zaborów, było później nadużywane przez ruchy skrajnie nacjonalistyczne w Polsce po 1918 r.

ORIENTACJE POLITYCZNE

Równocześnie rodził się także nacjonalizm polski. Przywódcy Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego (1897 r.) głosili niemożność walki o niepodległość, a powstania polskie uważali za wynik niedojrzałości politycznej narodu. Wysunęli oni program polskiej działalności politycznej w ramach ustroju państw zaborczych. Nacjonalizm polski był częściowo odbiciem rozwoju nacjonalizmu w całej Europie ówczesnej (Niemcy, Rosja, Francja, Anglia), a kapitalizm europejski przechodzący w fazę imperializmu chętnie posługiwał się argumentami o roli narodu powołanego do czynów, do panowania nad innymi narodami. Nacjonalizm polski stanowił także wyraz samoobrony przed wynarodowieniem Polaków i wysuwał hasło „wszechpolskości”, czyli wspólnoty Polaków wszystkich zaborów.

W kręgach bogatej burżuazji, ziemiaństwa i części inteligencji rozdzielił się ze zwątpienia w możliwości odbudowy Polski i nastrojów oportunistów politycznego trójlojalizmu reprezentujący tendencje ugodowe. Jego wytrwałym rzecznikiem wobec biskupów polskich był papież Leon XIII, który podkreślał szkodliwość pragnień patriotycznych i wzywał (1894 r.) do unikania wrogości wobec Rosji, do wierności dla cesarza w Galicji i wiary w sprawiedliwość władz pruskich i zachowania posłuszeństwa w Poznańskim. W szerokiej opinii polskiej ówczesnej jednak głęboko nadzieje i wizja Polski niepodległej, dlatego tendencje ugodowe nie znajdowały poparcia.

REWOLUCJA 1905—1907

Nowe kierunki i orientacje polityczne stanowiły odbicie nie tylko zmian politycznych na ziemiach polskich, ale przede wszystkim przeobrażeń samego społeczeństwa polskiego. Różnorodność patrze-

Nowe szpalty literackie

niczym uwydatniła się w czasie rewolucji 1905—1907, jednak klasa robotnicza, mimo rozbieżności organizacyjnej, stała się wówczas podstawowym czynnikiem w walce z caratem, dynamizującym inne klasy i grupy społeczne do działania.

SDKPiL w dalszym ciągu konsekwentnie trwała na stanowisku, że po zwycięstwie rewolucji w Rosji konstytuanta ogólnopolska w Petersburgu określi zasięg samorządów prowincjonalnych, a więc i polskiego, a zwycięska rewolucja usunie wszelki ucisk narodowy. Dlatego SDKPiL cały wysiłek skierowała na walkę klasową i wystąpienia przeciw wyzyskowi kapitalistów oraz stojącemu za nimi caratowi.

Poważne zmiany zaszyły w PPS. W styczniu 1905 r. PPS proklamowała w Królestwie strajk powszechny i wysunęła hasło „Wolność musimy zdobyć sami przez zwycięskie obalenie caratu, a uchwalimy tę wolność we własnym sejmie”. Już na wiosnę jednak rozpoczął się w partii rozłam, kiedy Organizacja Bojowa PPS wysunęła hasło powstania zbrojnego przeciw Rosji, a tzw. młodzi reprezentowali w partii program walki klasowej i oni właśnie podjęli akcję strajkową, a następnie zaczęli tworzyć klasowe związki zawodowe. Ostateczny rozpad na PPS-Frakcję Rewolucyjną i PPS-Lewicę nastąpił w listopadzie 1906 r.

Akcję strajkową podjętą przez klasę robotniczą naśladowała także młodzież, która zastosowała bojki rosyjskiej szkoły państwowej, a na wsiach chłopom masowo żądała wprowadzenia języka polskiego w gminie, szkole i sądzie. Endecja dla przeciwdziałania akcji strajkowej organizowała pochody narodowe i solidaryzowała się z hasłami żądającymi koncesji ze strony caratu na rzecz Królestwa, ale jednocześnie wysunęła hasło ugody z Rosją, szermując groźbą niebezpieczeństwa niemieckiego. Przez własne organizacje robotnicze starała się niwelować wpływy partii socjalistycznych, a jej bojówki zwalczały wystąpienia robotnicze.

Działalność rewolucyjna klasy robotniczej, solidarna akcja strajkowa, starcia zbrojne z policją i wojskiem carskim wykazały zdecydowaną wolę walki z caratem jako obrońcą klas posiadających i przyniosły rozwój i wzrost autorytetu działających nielegalnie partii robotniczych. Pod względem nasilenia walki Królestwo Polskie wysunęło się na pierwsze miejsce w cesarstwie, a wystąpienia robotnicze zyskały poparcie robotników polskich w pozostałych zaborach.

Mimo stłumienia rewolucji carat został zmuszony do ustępstw na rzecz społeczeństwa polskiego. Bardzo istotne znaczenie miał ukaz tolerancyjny (30 IV 1905), który stanowił pierwszy wyłom w dotychczasowej polityce wyznaniowej caratu i zapewniał wolność wyznania. Spowodowało to masowe porzucenie prawosławia przez dawnych unitów, którzy przechodzili na katolicyzm i manifestowali swą polskości. Dużą rolę w tej akcji odegrał kler katolicki, a zwłaszcza biskup lubelski Franciszek Jacewski, który też jako jedyny nie potępił strajku szkolnego. Ogółem w 1905 r. 163 818 unitów przeszło na katolicyzm, a do 1910 r. ok. 200 tys.

Dzięki wymuszonym przez społeczeństwo polskie koncesjom caratu rozpoczęły działalność organizacje szkolne, z których największa, Polska Macierz Szkolna (1905—1907), założyła 800 szkół dla 63 tys. dzieci, organizowała ochronki i biblioteki oraz koła szkolne we wsiach. Za zgodą władz (ukaz z 14 X 1905) zaczęły powstawać prywatne szkoły średnie (250 szkół) z językiem wykładowym polskim.

Jesienią 1905 r. z inicjatywy obydwu partii robotniczych zaczęły powstawać związki zawodowe, zarejestrowane w 1907 r. (17 VI), kiedy liczyły już ok. 150 tys. członków.

Wymuszona na caracie Duma Państwowa (30 X 1905) miała zapoczątkować system parlamentarny i pozwolić na częściowy udział przedstawicieli polskich w organach państwa rosyjskiego.

Nierozwiązane pozostawały jednak sprzeczności klasowe i ucisk ekonomiczny, wynikające nie tylko z obcego charakteru (przeważnie) kapitału na ziemiach polskich oraz reakcyjnego lub co najmniej konserwatywnego charakteru władz zaborczych. Nacjonalizm polski rościł pretensje do panowania nad ziemiami wschodnimi, zamieszkałymi przez rozwijające coraz bardziej swoją własną kulturę ludność ukraińską, białoruską i litewską, co stanowiło zarzewie przyszłych konfliktów narodowościowych w niepodległej Polsce.

Zamykając te uwagi można stwierdzić, że kordony graniczne państw zaborczych nie zdołały przeczekać ukształtowania się jednolitego narodu polskiego, a po 1918 r. nastąpiła szybka integracja i zatarły się różnice dzielnicowe. Naród polski w wyniku ucisku i prób wynarodowienia poniósł spore straty, ale zachował poczucie odrębności narodowej i wykazał niezwykłą żywotność, co wyraziło się w trzykrotnym powiększeniu się ludności polskiej: z 7 do 20 milionów w okresie od końca XVIII wieku do 1918 r. Mimo rabunku polskich skarbów narodowych, naród polski stworzył w niewoli wielkie wartości naukowe i kulturalne. W okresie I wojny światowej Polacy wykazali powszechne dążenie do niepodległości i gdziekolwiek znalazła się grupa Polaków, powstawały oddziały polskie.

Naród polski wchodził w własne państwo, nawiązując do granic 1772 r., co zapowiadało konflikty narodowościowe, które ujemnie odbiły się na stosunkach wewnętrznych. Dziedzictwem okresu zaborów były także konflikty klasowe, które wymagały przebudowy stosunków społeczno-gospodarczych. Ogólnie należy jednak stwierdzić, że naród polski, tworzący w 1918 r. własne państwo, był dojrzały i wszechstronnie przygotowany do samodzielnego działania państwowego.

Tadeusz Mencel

POCZĄTEK jesieni jest okresem wzmożonego obrotu towarowego. Stąd właśnie więc „Sztandar Ludu” stworzył „Magazyn Literacki”. Szkoda tylko, że obyło się bez przecięcia wątegi, bo z tym zawsze łączy się lampka wina. Tym razem byłaby na zdrowie lubelskiej literatury. Jeżeli literaturze to by nie pomogło, przyczyniłoby się może do integracji środowiska. Przetarzała ta „integracja”? Tym lepiej. Retro jest nadal aktualne. A swoją drogą — przydałoby się złożyć kwiaty na grobie tego kogoś, kto pierwszy kiedyś to hasło wysunął.

Oczywiście nie jest „Magazyn” organem żadnej literackiej grupy. Nie jest po pierwsze dlatego, że grupy powstawały na bazie zainteresowań wyłącznie poetyckich, a „Magazyn” prozy się nie wyrzeka, po wtóre dlatego, że na grupy dawno przestała być moda. Różne do niedawna „Hybrydy” i „Terazy” to raczej formacje organizacyjne powstałe dla skutecznego ataku na druk. A jeśli warunkiem grupy jest wspólnota poetyki, to grupę już mamy. Jedną na cały kraj.

Przecieram oczy 60 członków środowiska młodoliterackiego w Lublinie? Miał rację Bruno Jasiński: „Poezja wydziła się jak gaz, wszyscy umrzemy”. Chociaż — ten początkowo futurysta („Nuż w bzuhu”), później skandalista („Pałę Paryż”) mówił to w innej sytuacji literackiej. Dziś gestory życia kulturalnego przestrzegają, żeby kurki nie były odkręcone zanadto. W każdym razie lubelskie ośrodki publikacji znacznie mniej skupiają, niż mogłyby rozprzecznić lubelskiej literatury. Ale cóż. Optować, by np. „Kurier Lubelski” zwiększył jej podaż? Licho wie, jak przyjmie to kurierowy czytelnik, który dzień w dzień o godzinie piętnastej oblega kioski po wiadomości o sukcesach „Motoru” i wpłatach do banku wczasów. Licho wie,

jak to jest naprawdę z tym zainteresowaniem poezją, skoro czytająca publiczność równocześnie ciska gromy i wykupuje pojawiające się książki w sposób bez mała błyskawiczny. W każdym razie było tak, że na zaprowadzenie „Magazynu” w „Sztandarze” naciskano z paru stron, przede wszystkim ze strony samych autorów, którzy nie chcą pisać do szuflad. Trzymać teraz koniki wszystkim życiowym, żeby inicjatywa objęła jak największe obszary czytelniczego zainteresowania.

Marazm, zaścianek, konsumpcyjna postawa. Często to określenia dla zdefiniowania stanu małej aktywności. Tylko warto zobaczyć, w jakim stopniu wyraża się w tym kulturowy tumanizm, a w jakim — prawdziwość czasu zdominowanego pośpiechem, natłokiem samochodów, kurczeniem się przestrzeni dla człowieka, czyli tym wszystkim, co wynika z gwałtownie ewoluującej współczesności. Tak, kandydacie to brzmi. Bo ukazując proces nieunikniony awansem rozgryzania bierność i indyferentyzm. Więc — niech to zostanie moim najzupełniej prywatnym zdaniem — współczesna poezja rozmija się z duchem czasu. Protest, kontestacja, manifestacja rozdarcia wewnętrznego to taki sobie na odwyrtkę sentymentalizm. Potrzeba dziś Peipera, któryby potrafił słowo poetyckie wprowadzić w związku z rzeczywistymi warunkami życia, dla poezji znaleźć miejsce w klimacie tych ostrych starć, które powstają ze sprzecznych zjawisk i tendencji. I to już nie brzmi kandydycznie. Jeśli nie ma Peipera, to takie miejsce na pewno jest. Inaczej do niczego cała robota, do niczego ilościowy wzrost środowisk poetyckich. Więcej trolejbusów. Inaczej na próżno czekacie, kandydaci na pasażerów.

Ba, więcej, skoro cały czas się mówi o jakości. Ale jaki na to

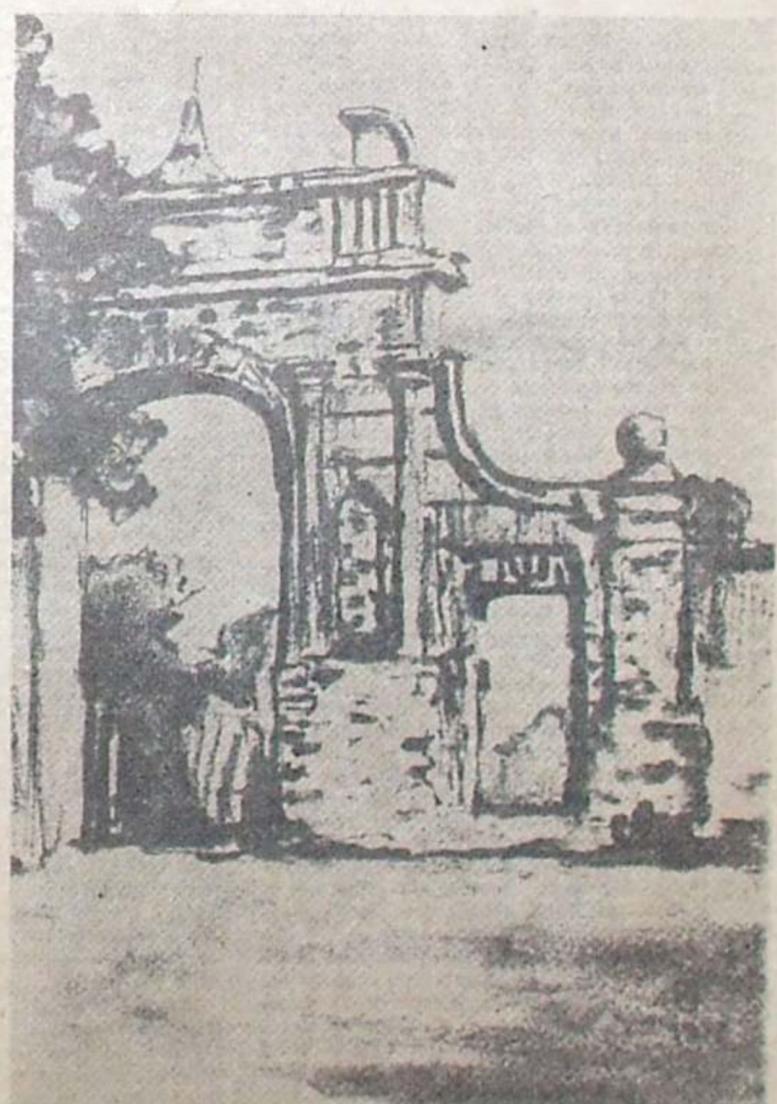
sposób. Reglamentacja poetów? Znowu sprawa. Bo z jednej strony odnosi się od uczestnictwa w podkulturze (dyskolekcyjny wiersz, zanie telewizyjny, spontaniczne happeningi towarzyskie), z drugiej — zolamuje ręce nad natłokiem tekstów napierających na redakcyjne barki. Orazem, jest pewien sposób, ale wobec praktyki powszechnie stosowanej w kraju, a i za granicą skurczy się do piśnięcia myszy, jeśli nie stanie się wprost letyctonowym kłosem; żeby wierzcie nie było pisać tak łatwo. Ładny projekcik? Ha, odwołaj tutaj te wszystkie lingwizmy, konstrukttywizmy, konkretyzmy, na których tytu już porobiło poetyckie kariery, a które na dobrą sprawę są dzisiaj odmianną dadaizmu. „Poezja” powinna wychodzić w samych numerach 3-ych. Może wtedy częstotliwość kropli wydrzązłaby kamień.

Ala popatrzmy na nas. Więc lubelskim „słowiarzom” (paradny termin „Przybysia”) udało się zdobyć nowy kawałek terenu. To znaczy. Choćby tylko w sensie prestiżowym i przede wszystkim prestiżowym, jako że w zakresie realnych możliwości nie ma takiego udostępnienia publikacji, które dalałyby ujście całej produkcji literackiej lubelskiego środowiska. Przynajmniej w rytmie szybszym, niż umożliwia to wydawnictwo książkowe. To zysk jeden. Drugi to ten, że powstało trzecie (oprócz WL i „Kamień”) centrum publikacji literackiej, które jeśli nie zaspokozi w pełni wymagania druku, to przynajmniej stanie się punktem zbornym dla zainteresowań środowiskowych. A może z czasem przyczółek wyrosnąć na most? W każdym razie „Kamień” ma w tym swój interes egoistyczny, bo to odciążałoby choć w niewielkim stopniu napór na jej łamy, a odmawiać autorom zawsze jest nieprzyjemnie. Poza tym ćwierćmilionowemu miastu wypadła mieć nie tylko bary mleczne i zacinające się automaty telefoniczne. Czyli, magazynie, stał się pawilonem.

Tego ci zyszą poeci, eseiści, reportażyści oraz — cytuję — „prozaicy, dramaturdzy, publicyści, tłumacze”, a także początkujący kibic

Zygmunt Mikulski

ZAPOMNIANE ZABYTKI LUBELSZCZYZNY W RYSUNKU RAJMUNDA URBANOWICZ



Zawieprzyce — brama wjazdowa

Fot. J. Kolasa

W położonych w bliskim sąsiedztwie Lublina Zawieprzyc zachowały się zrujnowane stylowo zespoły pałacowe. Z głównej siedziby miejskiej założonej w epoce renesansu a przebudowanej w czasach baroku zapewne przez Tytmana z Gamberen, zachowały się tylko ruiny. Przerwała w lepszym stanie oficynę, sięgająca początkami okresu budowy pałacu, adaptowano w kredytów konserwatorskich na cele szkolne. Z tych samych środków sfinansowano konserwację studenckiego budynku spichlerza oraz barokowej kaplicy z cennymi freskami. Carosłogicznie najpiękniejszą są: położona już po drugiej stronie ogrodu klasycystyczna oranżeria z wklęsłym portykiem kolumnowym oraz dziełnastawczy dworek drewniany, w którym spędziła lata młodości Maria Skłodowska.

Do zgrupowanych na stosunkowo niewielkim obszarze tak różnorodnych zabytków w dziedzi ta własna widoczna na rysunku Rajmunda Urbanowicza brama wjazdowa. Zbudowana na przełomie XVII i XVIII wieku, strzeża wjazdu na zamknięty dawniej marowanym ogrodzeniem teren pałacowy, broniący jeszcze legendą o okrutnym właścicielu i cmentarnej parze Kochanków. Wzmiankowany właściciel Zawieprzyc Jan Granowski, spopularyzowany został tak sugestyjnie w dziełach powieściowej literaturze, że przez pewien czas uważany był nawet za postać historyczną.

(ak)

SPODZIEWAM się napięć, podskórnej dramaturgii w jego życiu, tymczasem Wolski powiada, że od początku siedzi w tej społeczności gładko jak sztacheta w nowym płocie. Aha, przepraszam, jest dramat. Raz nastąpiła awaria hydroforu, wody pełno w piwnicach i trzeba było opatrunki wynosić w zębach. Także samo, gdy szambo zalewało piwnice. Po prostu złośliwość przedmiotów martwych, no i budynek oddano z usterekami oraz z opóźnieniem, zimą sześćdziesiątego czwartego roku. Marian Wolski spogląda na mnie, czy jestem zadowolony z konfliktowości zdarzeń.

Budynek miał być oddany na 22 lipca sześćdziesiąt trzy i jakoś tak niewiele przedtem zaferowano Wolskiemu tę posesję. Pieczętąki są, sztydy apteczne są, angaż na kierownika jest od września sześćdziesiąt cztery, zaś apteki nie ma. Otwarcie dopiero nastąpiło 29 grudnia. I odjął te pięćnaście blisko lat równą linią, bez załamania. Właściwie o czym opowiadać? Jest natomiast ciekawe, jak przybył do Wilkołaz. O tym.

Pochodzi z okolic Ostrowa Lubelskiego, w czasie wojny partyzanckiej strony. Brat się urodził w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, a on poszedł z domu do gimnazjum prywatnego w Lublinie, tak zwanego biskupiaka, na Czwartku. Jeśli ja nie kończyłem szkoły średniej w Lublinie, to nie mogę znać tego gimnazjum, które było męskie i wysoko płatne. Wolski pamięta, że uczyła tam historii pani Józefacka, matka obecnej poetki. Kończyło się tę szkołę i zdawało maturę eksternistycznie w liceum Zamajskiego. Ale gdy Wolski skończył, już tego zabroniono, w pięćdziesiątym czwartym.

Poszedł do pracy w spółdzielni remontowo-budowlanej na posesję magazyniera. Z początku pewien stary wozak kazał mu po sporty radomskie skakać, wapno ładować i jeździć siwą skrapą przez Krakowskie Przedmieście. Równocześnie prezes tej spółdzielni budowlanej, dwa fakultety KUL-owskie, gonili młodego pracownika do nauki, czyli dziesiątej klasy wieczorowego liceum na Starym Mieście. Tak że pracownik uzyskał niebawem maturę, jakby po raz drugi, i składał papiery na lekarski. Czasy były dosyć burzliwe. Wolski chodził po wiecach i ze szkoły otrzymał opinię raczej umiarkowaną. Egzamin wstępny zdał dobrze, ale dostał się tylko na farmację, właściwie przypadkiem, którą ukończył. Pełen jest świat swojaków, gdyż dogadujemy się do wspólnych znajomych, na przykład Andrzeja Cz., z którym Wolski studiował.

Będąc na czwartym roku, Wolski poznał dziewczynę, z którą się ożenił, będąc na piątym. Ona, absolwentka liceum ekonomicznego Vetterów, pracowała w spółdzielni studenckiej. Swojski jest ten świat jak ciepła pierzyna, gdyż okazuje się, że nasze żony, jeszcze panienkami, uczyły się u Vetterów w jednej klasie.

W Lublinie był tylko pokój. Urodziła się córka, Marzena. W Wilkołazie przy aptece były trzy pokoje z centralnym, wodą, kanalizacją, gazem z butli. Pięćdziesiąt osiem metrów kwadratowych plus czternaście metrów piwnica. Piwnica taka jest bardzo ważna, jak się ma ogródek jednoarowy, który, dobrze uprawiony, da obfitość warzyw dla rodziny i sąsiadów, a żona corocznie przetworzy w narobi mnóstwo.

Nie powinienem jednak sobie pomyśleć, że zaopatrzenie na wsi lepsze, życie łatwiejsze czy tańsze niż w mieście. Akurat! Owszem, owoc można taniej nabyć w punkcie skupu, czasem u rolnika kurę prawdziwą, jaja. Ale słynna wiejska kiełbasa unikalna wprost i po sto pięćdziesiąt kilogram. Chłop woli prosiaka na skup zawieźć, mleko odstawić, a baba jego za ogonami świńskimi w kolejkę się ustawia przed jatką, za masłem i śmietaną przed sklepem, albo do miasta jedzie po zaopatrzenie. Do Lublina godzinę pociągami, pekaesem jeszcze krócej. Do Kraśnika tylko pięćnaście kilometrów.

Ze klient wdzięczny przyniesie magistrów? Ano przyniósł właśnie wczoraj, kilogram sliwek w opakowaniu po makaronie. A z początku, w sześćdziesiątym piątym bodaj, przytaszczył jakiś chłop bączkę kiszonych ogórków do apteki. Dla magistra niby. Potem się okazało, że faktycznie dla magistra, tylko, innego, magistra rolnictwa. Z nazwnictwem tytułarnym czasem zabawne historie. Jedni mówią magister, inni — magistrat, a ktoś jeszcze nazwał Wolskiego docentem.

Nie można narzekać w sumie. Człowiek wrósł w środowisko, które ma swoje zalety. Ludzie tutaj uczeni, życzy-

liwi aptekarzowi, tylko społecznie jakby trochę nietego się udzielają. Trzeba furę piasku zwieźć do piaskownicy dla dzieci, szukać chętnego! Łatwiej księdzu znaleźć ludzi do robót przy kościele. Kościół zresztą zabytkowy, ksiądz Piotr Sciegienny był tu wikarym swego czasu, a społeczność mocno religijna. Plebania nowa, parę lat temu postawiona na starych fundamentach. Naprzeciwko apteka z ośrodkiem zdrowia, też nowa inwestycja, przez ludzi przyjęta życzliwie.

Jest remiza straży pożarnej, na cele kulturalne niewykorzystana w zasadzie. Organista prowadzi chór ochotniczej straży. Kino objazdowe przyjeżdża do remizy, trzeba z własnym stolikiem iść. Klubu wiejskiego nie ma, dom towarowy by się przydał dla tych wszystkich Wilkołazów, odrębnych sołectw leżących obok siebie, których jest pięć: Pierwszy, Drugi, Trzeci, Dolny i Górny.

Ale nieszczęście w szczęściu. Gospodarstwa gęsto kolo siebie i ziemia bardzo dobra, nie ma gdzie stawić inwestycji ogólnego użytku. Za to rolnicy bogaci, buraki cukrowe uprawiają, bydło i trzodę hodują. Każdy ma ambicję



DNI I NOCE W WILKOŁAZIE

Maciej Podgórski

posiadania traktora i samochodu. Pojeżdżymy po wszystkich Wilkołazach, wtedy zobaczą, jak się wieś buduje, wille z garażami jedna obok drugiej, choć niby z materiałami budowlanymi kłopoty. Ktoś stawia dom, sąsiad nie może być gorszy. Aczkolwiek nieraz, gdy postawi i wykończy, to i tak z całą rodziną mieszka w jednej izbie, reszta pokoiów, umeblowana, stoi wolna, chyba na pokaz, a czasem nawet nie mebluje, tylko zboże suszy. To jest snobizm, ale bardzo pożyteczny.

Gdyby jeszcze większe zaangażowanie społeczne! Jak zapłacił podatek, uważa, że resztę powinno państwo zrobić. Kiedyś grano w piłkę za kościołem na księżej łące, proboszcz przyszedł i rozebrał bramki. Potem młodzież nocą na moście wypisała wielkimi literami: MY CHCEMY BOISKA! Ale nikt nie przyszedł z konkretnymi propozycjami. Chca, żeby im to boisko zafundować.

Wolski społecznie udziela się bardzo. Przypomina choinkę, obwieszoną funkcjami. Jest drugim sekretarzem KG PZPR, wiceprzewodniczącym GRN, sekretarzem POP w Wilkołazie I, przewodniczącym Gminnej Komisji Kontroli Społecznej, przewodniczącym komisji pojednawczej przy Urzędzie Gminy. („Najczęściej sprawy rodzinne; o kurę, miedzę, trzy snopki zboża, teściowa z synową; ludzie chcą się wygadać przede wszystkim”). Osiem lat był przewodniczącym komitetu rodzicielskiego przy gminnej szkole zbiorczej, dwa lata temu Marzena poszła do liceum w Kraśniku. Żona Wolskiego jest prezesem Gminnego Zarządu TPD.

Autorytet u ludzi ma, powiada Wolski o sobie. Lubi załatwiać sprawy do końca. Apteka idzie dobrze. Na początku robił około pół miliona obrotu. Ostatnio — blisko dwa i pół miliona złotych. Oczywiście, to się ruszyło, gdy przyszło ubezpieczenie wsi. Do rocznych obrotów apteki państwo dopłaca w Wilkołazie około półtora miliona złotych za leki. Tylko konkretem można przekonać chłopca, nie gadką pustą, i Wolski lubi tę cyfrę przytaczać.

Od początku prowadzi aptekę z żoną, która pierwotnie pracowała jako księgową apteki, a później, po skończeniu pomaturalnej szkoły farmaceutycznej, dostała etat starszego technika. Trochę jest uwłazania, raczej trzeba być dzień i noc, bo zawsze ktoś się może zjawić po lekarstwa. Był okres, kiedy dwa razy w roku kierownik musiał wypełniać urzędową opinię o pracowniku. Wtedy Wolski zasiadał do formularza i biedził się, co też ma napisać o swojej żonie. Napisał źle — będzie nieprawda. Napisał dobrze — posadzą o kumoterstwo. „Strona moralno-obyczajowa nie budzi zastrzeżeń” — pisał w każdym razie.

Razem ze wszystkimi dodatkami, oraz wynagrodzeniem za prowadzenie laboratorium analitycznego przy aptece, zarabiają Wolscy ostatnio dziewięć tysięcy miesięcznie. Pierwszy samochód, syrenę 104, kupili w siedemdziesiątym roku. Wyjątkowo udany egzemplarz, który eksploatowali siedem lat. Ostatnio mają syrenę 105, której Wolski nie ocenia już tak wysoko jak poprzedniej.

Bądź co bądź nowym samochodem udali się na wycieczkę dwutygodniową do Turcji, z córką oczywiście. Mama prowadziła tam skrupulatny dziariusz

DWUGŁOS: RECENZENT — AUTOR

LEDWIE obiecałem, że napiszę o pierwszej powieści Zbigniewa W. Fronczka, ogarnęły mnie wątpliwości dotyczące sensu dwugłosa, który zaplanowała „Kamena” i ryzyka, jakie to przedsięwzięcie niesie dla dwóch osób — autora „Tam, skąd pociągi odchodzą rzadko a może wcale” i recenzenta. Bliższa ciębie koszula, zazwyczaj więc od niedogodności sytuacji tego drugiego. Mam więc pisać o książce obok kogoś, kto książkę tę nie tylko czytał więcej razy ode mnie, ale ją napisał, zna więc ją niemal na pamięć, mam pisać o książce, która dla niego jest książką jedyną, podczas gdy dla mnie tylko jedną z wielu. Jak w takiej konfrontacji nie wyjść na głupca? Przy tym wszystkim podejrzewam, że Fronczek w „Tam, skąd pociągi odchodzą rzadko a może wcale” wierzy, wierzy z tą bezkompromisowością debiutanta i mimo różnych czasu swego przykrości, jakie ta jego wiara w siebie mi przyniosła, ma do tego psychologiczne prawo i jest mi sympatyczna mimo wszystko ta wiara, bo bez niej — w pisarskich początkach zwłaszcza — czego szukać w literaturze? Wierzę, że sympatyczna jest mi ta wiara, czyż mam napisać — bo to byłby jedyny komplement, który przyjemność by mu sprawił — że genialna to książka? I gdy on na to czeka, ja mogę — by w zgodzie z własnymi odczuciami pozostać — napisać tylko, że to dobra książka, inteligentna, interesująca, ciekawy debiut. A on, jeśli nadarzy się po temu okazja, powie mi, jeśli nie — to tylko sobie pomysli: takie komplementy to sobie zachowaj dla siebie, albo na Centrum Zdrowia Dziecka je mogę prze-

MASZYNA do pisania marki „erika”, która służyła mi do przepisywania pierwszej powieści znajduje się już w muzeum. Otrzymałem ją od znajomego z pewnej instytucji, gdzie spisała ją na straty. Pisałbym na niej do końca wiersze i powieści, gdyby nie fakt, że energiczny dyrektor miejscowego muzeum regionalnego przystąpił do tropienia eksponatów. Wpadł na trop mojej maszyny. Rzekomo podczas ostatniej wojny partyzanci pisali na niej ulotki.

W muzeum z dumą patrzę na swą maszynę. Nikt nie wie, że służyła mi również. Była świadkiem moich zmagania ze słowem, była bardziej cierpliwa niż papier. Ogarnia mnie ojcowska czułość i chciałbym tę maszynę popłaskać.

Tyle wstępu. Książka jest optymistyczna, bo i czasy skłaniają do optymizmu. W końcu ubiegłego wieku taki Paryż, a i inne miasta, tonęły w nawoocie końskim. Fetor ponoć był nie do wytrzymania. Złazacza latem. Dla nas jest to katastrofa groteskowa. Uśmiechamy się z pozbawianiem. Nie wpadli na pomysł hodowania pieczarek. Może i nasze spaliny wykorzystamy, jak ktoś potrzęśnie głową, ściekami z szamba użyjnimy pola, rzekami czysta woda popłynie. Póki co, nie jest źle, choć niektórzy ręce zalamują. Jeszcze sprytniejsi plotkę w Wiśle złowią, pszennego pieczywa duży wybór, zajączka przed Bożym Narodzeniem u stryja za stodołą we wyniki można złapać. Tak, to prawda, wyścig zbrojeń nie słabnie, ludźmi dreszcz zgrozy wstrząsa, katastrofiści będą mieli o czym pisać do końca życia, ale czy nasi przodkowie byli bardziej bezpieczni? Byli bezbronni wobec szarańczy, morowego powietrza. W nadziei na ocalenie wznosili figury na rozstajnych drogach. Dziś organizujemy wiece protestacyjne. Jest o nich kilka zdań w mojej powieści. Na wszelki wypadek, by nie było zarzutów o aspołeczność, nijakość, bylejąkość — tych koronnych zarzutów wysuwanych pod adresem młodej prozy. Chociaż występuje święty, powieść jest moc-

Nie chodzi o niedźwiedzia

Bohdan Zadura

kazać, ty się znasz na literaturze, ty? Takie jest więc ryzyko moje. A je-
go? Ma zarekomendować własną po-
wieść. Będzie zmagal się z pokusą
szczerości. To, co miał do powiedzie-
nia, powiedział na tych siedmiu arku-
szach, już tam się odstąpił, a oka-
zuje się, że to za mało, że chcą, żeby
własnymi słowami, jeszcze raz, bar-
dziej wprost. Co chciał przez te „Po-
ciągi...“ powiedzieć? Nieprzyzwoitość.
Więc schroni się w żart, wykpi się,
placąc za to — jednak — pewnym
wewnętrzny niesmakiem. Przybie-
rze raz jeszcze Fronczkowi poze,
tak jak upozowany jest na fotografii
na okładce powieści. Więc chyba jed-
nak jego ten dwugłos w trudniej-
szej sytuacji niż mnie. Mimo wszystko.
Mimo że bliższa ciału
koszula. Najrozsądniejsza rzecz w
tym układzie byłoby zapomnieć o
dwugłosie powściągnąć w sobie chęć
korespondencyjnego współzawodni-
ctwa, nie starać się odgadnąć za
wszelką cenę wszystkich sensów tej
książki, bo wiadomo, że gdy człowiek
stara się zachowywać jak najciszej,
to właśnie wtedy najczęściej coś mu
z hukiem na podłogę upada.

„Tam, skąd pociągi odchodzą rzad-
ko a może wcale“ jest powieścią, któ-
rą czyta się z ciekawością i zaintere-
sowaniem, tak iż trudno nie poczynać
z kokieterią słów, którymi po-
przedził ją autor: „Powieść ta ma
jedną wielką zaletę. Możesz w każdej
chwili przerwać jej czytanie“ To
przekorne motto — jeśli nie jest tyl-
ko stwierdzeniem pewnej oczywisto-
ści — sugeruje, że Fronczek jest pi-
sarzem o dużej samoświadomości o
ambicjach wykraczających poza opis
czy zapis mniej lub bardziej cieka-

wych zdarzeń z życia, zdającym so-
bie sprawę z „literackości“ literatu-
ry. Bliższa jest mu konstrukcja czy
wizja odinwentaryzowania tego, co
się przeciętnie ludziom przydarza.
Literatura jest dla Fronczka bardziej
rodzajem gry czy zabawy, co niechaj
nie będzie zapisane mu po stronie
passywów, jako że samemu się w
prozie bawiąc, dostarcza satysfakcji
czytelnikowi, a owe powieściowe gry
posiadają sensy dość istotne. Tajem-
nica uroku tej powieści kryje się
być może w tym, że przy ostentacyj-
nym wręcz podkreśleniu umowności
— jakiejś dziewiczo niepokalanej na-
iwności by trzeba, aby wziąć serio
historię spadku, na który liczy Dio-
nizy („W dokumentach rodziny Wiet-
rzyka istniała potężnych rozmiarów
teczka wypełniona metrykami i wy-
cinkami z gazet. Na przestrzeni o-
statnich lat skrupulatnie zbierano
wszelkie wzmianki prasowe dotyczące
postępowania spadkowego. Temat
cieszył się wielkim wzięciem dzien-
nikarzy. Od czasu do czasu informo-
wano o obywatelach innych państw,
roszczących pretensje do spadku.
Wielu chciało jak najszybciej odna-
lezenia spadkobiercy na rodzimej
ziemi Konopy, chciano uściskać dłoń
szczęśliwca, inni odwoływali się do
uczuci patriotycznych, żądając przy-
łączenia do Polski należnej nam czę-
ści Teksasu.“), a jest to tylko jeden
w wielu przykładów — mamy jed-
nak do czynienia w „Pociągach...“
ze światem, w którego rzeczywistość
się wierzy. Utrzymana w klimacie
baśni? powiastki filozoficznej? po-
wieść Fronczka potwierdza, że w li-
teraturze ważny jest sposób, same
tematy bowiem sprawy czy wyda-

rzeń, które służą Fronczkowi za
tworzywo, nie wydają się zbyt atrak-
cyjne. Są powiedzmy to, banalne.
Ale właśnie z owej banalności, ze
stereotypu Fronczek potrafi zrobić
ciekawy użytek. Materia, z której
wznosi swe konstrukcje, jest wcale
nie umowna, jest, chciałoby się po-
wiedzieć, namacalnie prawdziwą, lecz
wychodząc od trywialności wzbija się
ta proza w wyższe regiony, niesiona
przez wyobraźnię i poczucie humoru.
Obnażanie, kompromitowanie stere-
otypów jest rzeczą serio w tej za-
bawnej, igrającej konwencjami lite-
rackimi — parodiującą i powieść
sensacyjno-kryminalną i romans, i
moralitet — książkę, w której jedną
z sił napędowych dość luźno skon-
struowanej fabuły jest zabieg do-
słownego traktowania języka, przy-
pominający trochę metodę zastoso-
waną w „Człowieku epoki“ gdzie je-
śli żona przypawiła mężowi rogi, to
trzeba było wzywać rekordzielnika, by
je odpilował, nieszczęśliwie bowiem
nie mógł przejść przez drzwi.

„Tam, skąd pociągi odchodzą rzad-
ko a może wcale“ przy braku szca-
cunku dla ludzkich wad, przy całej
ironii, z jaką uderzają w prywatne
i nie tylko jednoosobowe grzechy, są
zarazem książką pełną ciepła. Fron-
czek się do tego nie przyznaje, ale
on kocha ludzi. Kiedy czytałem
pierwszy raz tę powieść, w maszy-
nopisie jeszcze, przyszło mi na myśl
pisarstwo Piotra Wojciechowskiego;
nie realiami, nie frazą przypomina
go Fronczek, lecz klimatem. Chociaż
inny jest punkt, ku któremu zda-
je się zmierzać. Jeśli twórczość Woj-
ciechowskiego jest czynnością mito-
twórczą, u Fronczka bardziej docho-
dzi do głosu nastawienie demitolo-
gizujące. I ta zabawna, tryskająca
fajerwerkami humoru powieść, smut-
kiem jest podszyta. I tęsknotą za
wartościami prawdziwymi auten-
tycznymi, którą da się odczytać pod
nagromadzeniem tego co sztuczne,
co fałszywe. Jest to pamflet na kul-
turę masową? Wiele zdaje się o tym
świadczyć, lecz brak miejsca nie po-
zwala mi na cytaty. Nie przypad-
kiem wszakże i wilk nie jest praw-
dziwy i nie jest prawdziwy niedź-
wiedź. I nie przypadkiem powiada



się, że nie chodzi o niedźwiedzia,
ale o emocje.

„Tam, skąd pociągi odchodzą rzad-
ko a może wcale“ są książką, w któ-
rej wiele inwokacji do czytelnika i
rzeczywiście jest to powieść, która
daje duże możliwości współkształto-
wania jej jakby w lekturze. Myślę,
że usatysfakcjonuje i tych, którzy
szukają w literaturze rozrywki i tych,
którzy oczekują od niej czegoś wię-
cej. Określić coś nowego można naj-
prościej przez wskazanie na podobie-
ństwo do zjawisk już znanych.
Wspomniałem o pewnych związkach
między prozatorskim debiutem Fron-
czka a „Człowiekiem epoki“ Iredyń-
skiego czy twórczością Piotra Woj-
ciechowskiego, myślę, że warto rzu-
cić jeszcze jedno nazwisko — Mro-
żek z jednej z pierwszych swych
książek, z „Ucieczki na Południe“.

W sumie wydaje mi się, że udało
się ten prozatorski debiut autorowi
dotychczas dwóch tomów wierszy i
udała się ta książka Wydawnictwu
Lubelskiemu, również jeśli chodzi o
jej szatę graficzną.

Zbigniew W. Fronczek: „Tam, skąd
pociągi odchodzą rzadko a może wcale“,
Wydawnictwo Lubelskie, 1978, s. 154,
nb. 2.

no osadzona w rzeczywistości. Oczy-
wiście, taki zabieg może się komuś
nie podobać. Komuś, wielu, a może
nawet wszystkim. Ktoś może będzie
chciał mnie zwolnić, inny udowodni-
ć, że moje miejsce przy odsnieżani-
niu lub zbiorce makulatury. Zwol-
nić nie ma skąd, a do odsnieżania i
zbioru makulatury i bez przymusu
stają pierwszy. Zresztą wyręczać
krytyki nie mogą. Mogą pokpiwać,
ale nie wyręczać. Ktoś zorientowa-
ny uśmiecha się dyskretnie albo mo-
że i wyzywająco, bo zdaje sobie spr-
awę, że osobnik wydający książkę ma
z reguły przeświadczenie, że jego
dzieło to najatrakcyjniejsze zwi-
erzę, jakie zyskuje ogród zoologiczny
zwany literaturą. A swoją drogą au-
tor to też oryginalna bestia. Oba-
zić go łatwo, a jeszcze łatwiej zwi-
eść na parę ładnie brzmiących frazesów.
Głowę wtedy podnieś, pięścią po-
trząśnię, książkę jak sztandarem po-
machaj. Chociaż to niejednokrotnie
sztańdar nieistniejącej republiki.
Niesie swe dzieło jak transparent.
Chociaż to transparent z nieczytel-
nym hasłem. Uważa ją za drogo-
wskaz. Drogowskaz, ale dokąd?

Staratem się, by była to Książka
atrakcyjna. Zainwestowałem w czy-
telnika kilka poglądów, przekama-
rzam się z nim, na seanse spiry-
tystyczne prowadzę, na falliczne na-
mawiam. Wychodzę bowiem z za-
łożenia, że kilka kieliszków i trochę
rozputy nikomu jeszcze nie zaszk-
dziło. Zwłaszcza gdy o rozpuszczeniu
obraźni chodzi. O rozpuszczeniu do pew-
nego stopnia, ma się rozumieć, by
obeszło się bez interwencji porząd-
kowego, a może i całej armii. Oczy-
wiście, myślę o armii zbawienia, bo
jako pacyfista tylko taką dopusz-
czam do działania to swej twórczo-
ci.

I co, armia moich przeciwników to
dalszym ciągu nie rzędzie? Więc far-
tuch kucharski zakładam i najwy-
myślniejsze dania serwuję. Oto dam-
ski posładek, oto karp po żydowsku,
to sputnik radziecki. Już wielu da-
ło się nabrać, słinkę przetykają. Tak,
wielu przekonać potrafię. Kiedyś z
pewną panią o literaturze dysku-

Jak tu mówić o swojej książce?

Zbigniew
Włodzimierz
Fronczek



wałem. Człowieka pozycji polskiej u-
stałona przez ową panią przedsta-
wiała się następująco: Mickiewicz,
Słowacki, Kochanowski, Ludwik Je-
rzy Kerna. Znawców przedmiotu dzi-
wić może tylko obecność Kerna. Jed-
nak na usprawiedliwienie pani słu-
ży fakt, że jedyne pismo, do które-

go miała przekonanie było nieustan-
nym popularizatorem twórczości
Kerna. Przyjemnie z pania czas spe-
działem, przeczytałem kilka swoich
wierszy i kiedy rozstawaliśmy się,
nie miałem wątpliwości, że zdystan-
sowałem Kerna. To żaden wyczyn,
żaden sprawdzian, ktoś powie. Brill
a nawet Drodowski też zapewne

prześcignęliby Kerna. Kto wie, mo-
że któryś z nich pokusiłby się o zdy-
stansowanie Kochanowskiego.

Hej możliwości przed nami! Kto
sobie zdaje z tego sprawę? Hej spo-
sobów ośmieszania, zakpienia. Są i
przeszkody, ale i sposoby ich poko-
nywania. Świat jest piękny, bo każ-
dy ma prawo do takiego stwierdze-
nia. Babka mająca pieniądze w poń-
czosze i dziadek ukrywający karabin.
Czy coś ich może zaskoczyć? To po-
zwala im wierzyć, że istnieje coś, co
daje im siły, coś, co pozwala pa-
trzeć na świat śmiejąc. Tylko kiedyś
nocą rozlegnie się ciche pukanie do
drzwi. Po co sięgać wtedy. Po pie-
niądze czy karabin? Tak sobie cza-
sem myślę, tak zapisuję. Bo kotłuje
się w mojej wyobraźni, skwierczy.
Potem są stosy kartek, jakieś cha-
rakterystyki czy opisy, które ktoś
poczyta za rozliczanie się z kimś, z
czymś. Ile kłopotów przez te książ-
ki. Ile nieporozumień, nadziei. Ile
nieszczęść. I jak tu mówić o swojej
książce?

PS. I

Wszystkim znajomym, którzy do-
patrywaliby się w mojej powieści
swych ciętych powiedzonek, gestów,
kawałów — odpowiadam: nie ma
Was. Są tni, nieznanymi mi, podpa-
trywani gdzieś na stacjach, w kolej-
kach i wszędzie tam, gdzie nikomu
by do głowy przyszło nie mogło, że
jest obserwowany. Są ludzie, z któ-
rymi nie zamieniłem ani słowa, a
jedynie wymieniłem spojrzenia i to
wcale nie porozumiewawcze. Jest
jeden co chciał uchościć za wilka.
Gdy go spotkać może będzie już
niedźwiedziem. Czy go poznacie? To
już chyba nieistotne.

PS. II

Na mojej powieści zaoszczędzono
papieru na 5 (pięć) dodatkowych to-
mów poezji. Tak poinformowano
mnie w Wydawnictwie. Ale to już
nie moja zasługa.

ARCHITEKTURA NA WSI?

-WSZYSTKO zależy od ludzi — słyszałem kilkakrotnie tę oczywistą prawdę zarówno w placówkach wojewódzkich, jak i gminnych. — Od ludzi, od tego jacy oni są, jak wykorzystują swoje uprawnienia, ile wkładają wysiłku i serca w to, co robią dla wsi, a jeżeli mają wyższe jakiegoś racje i słuszne, czy chcą i potrafią je odpowiednio przedstawić, skłonić do brania ich pod uwagę.

Kiedy jednak patrzy się na architekturę współczesnej wsi nawet z samolotu, chociaż ogólny osąd łagodniejszy, to jednak nie znajduje się dość przesłanek, aby utwierdzone spostrzeżenia bezpośrednio na ziemi można było zmienić. Namnożyło się kłocków, pudełeczek z kopertówkami, czyli z dachami ukształtowanymi w zakłębione, rzadko proporcjonalne „koperty”, zagaściła się szpetota, a przypadek i brak gustu estetycznego panują wszechpotężnie.

Zapytuję sam siebie: Czego więc chcę, jakiego kształtu wsi polskiej pragnę, skoro tak surowo osądzam stan istniejący i powstający? Do szpetoty niektórych osiedli już przywykłem, ba, nawet dowodzę się w nich jakiegoś piękna, choćby na tle pozostałych, na zasadzie, że w innych częściach miasta jest jeszcze gorzej, więc ta nasza okolica, no, ona jest całkiem zdrowa, a gdy za piętnaście lat podrosną drzewa, to nawet będzie przyjemnie, przecież stodoły na osiedlu Mickiewicza także zieleni miłosternie przesłoniła, więc... Tymczasem na wsi przyroda tę funkcję spełnić może natychmiast, istnieje jeszcze przed wykopaniem fundamentów, a jeżeli nawet jakieś drzewo padnie, to wokół nowego zabudowania powstaje przynajmniej ogródek kwiatowy i warzywny, najczęściej istnieje już sad. Może więc dramatyzuje sytuację, może tęskni do niemożliwego?

To prawda że w okresie szulca ze strzechą polska wś posiadała jednolity a równocześnie dość niezmienny charakter. Wyliczę sobie na ponad słomiany lub trzcinowy grzbiet dachu było postępowe w osłunku do kurnej chaty. Był może że kurność samego osiedla także wydawała się, że coś bawo, wrośnie odchodzi, a sielskość chaty, skiego domu, pozbawionego wszechdobrych dymu i otwartego ognia, zostaje zubożona. Potem peizażyści utrwalali na płótnach to nowe, co triumfalnie obwieszczało z kominia niewątpliwą postępowość. Zresztą i dziś malarze holdujący sztuce przedstawiającej i artyści fotograficy wciąż jeszcze widzą w chacie z narożnikami na węgiel i słomianym dachem urokliwość, której w

swej twórczości nie pojmają. Jest w tym smętek i za po, odcinającym. Zapewne i ja dołączam do szeregu tych żalujących, nie jestem jednak zwolennikiem hamowania postępu. Im bardziej życie ludzi wsi zbliży się do osiągnięć możliwych dotąd w mieście, tym lepiej i pełniej spełnione zostaną założenia nowego ustroju, tym szerzej korzyści będą oni mogli z osiągnięć i dokonań cywilizacji. Jednak łazenię, centralne ogrzewanie, lodówkę, pralkę, telewizor, radiodławnik, adapter, magnetofon, nowoczesne meble i dywany można rozmieścić także w słomianej chałupie, co wysmiewa nawet współczesna komedia pt. „Tato, tato sprawa się rypla”. Można też euda dziś już wszechobecne użytkować równie dobrze w budynku z typowego projektu, ale może i powinna te nowe budowle ożywiać i indywidualizować myśl architektoniczną.

Czy dążę więc do tego, by — jak na Podhalu z przełomu poprzedniego i obecnego wieku — narodził się nam nowy Stanisław Witkiewicz i zaprojektował jednolity typ zagrody, a szczególnie budynku mieszkalnego, dla współczesnej wsi polskiej? Tamten dwuspadzistym dachem, strzelistością jego kształtu połączył funkcjonalność (opady łatwo spływają) z górskim otoczeniem. Jaką właściwość natury powinien na pierwszy plan wysunąć współczesny architekt? Z zazdrością patrzyłem ostatnio w Bułgarię na czerwone i rude dachówki na domach i budynkach zagród, chociaż same mury są już współczesne, a wnętrza także. Nie została zerwana więź z tradycją a przecież tamtejsi spółdzielcy żyją po nowemu, ba, w dziedzinie gospodarowania i współzrządzenia poszli przecież dalej od naszych rolników, a jednak nie dostrzega się tam tak masowego dążenia do przejęcia wzorców miejskich, gdy idzie o zewnętrzną architekturę. U nas ta dążność jest powszechna, kopiuje się do prostu szpetotę indywidualnego budownictwa nowobogackich inżynierów w podmiejskich dzielnicach „szlacheckich”. To, co spotykamy w miastach, a także na Wyżynie, to nie jest architekturą, jakby żałować, ale to jest architekturą, nie trudzi.

Próbuję więc bezpośrednio w miejscach tego nowoczesnego zła jego źródła, do ponownym przyjrzeniu się włóczę od strony głównej drogi oraz po licznych marszach między osłoki dalszych zabudowań. W Urzędzie Gminnym w Dzierżkowicach rozmawiałam z mną sekretarz biura Eugeniusz Mikita, kierownik gminnej służby rolnej Stanisław

Zapolski oraz inspektor do spraw budowlanych Stanisław Nowaczynski w Dzierżkowicach — Woli i Ludmiłowie istnieją spółki, które wypalają rocznie do 750 000 sztuk cegły, wielu rolników wytwarza cegły surowkową i pustaki. Zarejestrowało się w gminie Irzydziesztu osiemu majstrów i czeladników murarskich, z nimi pracują pomocnicy oraz zainteresowane rodziny. Skoro więc tyle autonomii w produkcji materiału, dlaczego biernie nastawienie w architekturze? Prawie wcale nie można spotkać budynku nie podobnego do bloku z sąsiedniego Kraśnika. Kilka schludnych domów spotkałem w Urzędowie, ale

prawie nie wchodzi na nowe tereny, przewiduje izw piombowanie w miejsce użytków naturalnych lub przewidzianych rozbiórką. W samym rynečku należy wywłaszczyć i przekwaterować 7 rodzin, a ich przekonanie że w dotychczasowym miejscu zbudować już nie będą mogli, że lepiej już z całocią przenieść się w nowe, przewidziane na ten cel miejsce. W samym środku potrzebne są przedsiębiorstwa usługowe dla okolicznego rolnictwa, rozwinać musi się handel, stworzyć trzeba lepsze warunki dla szkolnictwa i służby zdrowia.

Zwiedzam — potem raz jeszcze miejsca, w które na planie zostały



Wies odchodząca

Fot. B. Kowalski

rażą one mniej tylko dlatego, że należało by się spierać czy tę miejscowość należy oceniać według kryteriów wiejskich, czy przypomnieć o tym, że gdzieś w archiwach spoczywają jeszcze akta o nadaniu Urzędowowi praw miejskich, których ważność przekreślił jednak czas. Naczelnik Tadeusz Wojtak pokłada duże nadzieje w szczegółowym planie zagospodarowania przestrzennego osłodka gminnego, opracowanym przez zespół pod kierownictwem Stanisława Maleckiego z Biura Planowania Przestrzennego Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie. Chwali, stwierdza, że intencje planu pod względem urbanistycznym, a także, gdy chodzi o uporządkowanie Urzędowa są właściwe, szczególnie centrum. Następcą on jednak wiele trudności, bo przecież rzecz dzieje się w zasięgu istniejącej zabudowy.

wpisane wspomniane przez naczelnika obiekty łączy od starej miejscowości w której według Maleckiego i jego współpracowników powstanie kłówna ośrodek, zostaną rury centralnego ogrzewania dla „środku wsi” i wszystkich zabudowań jakie są po drodze głównie jednak dla placówek użyteczności publicznej. Tam buduje się ośrodek zdrowia, tu powstanie szkoła zminna, a w innym miejscu budynek wielorodzinny dla tych, których trzeba będzie przekwaterować oraz dla osób spoza rolnictwa, jednak swola praca temu służących w gminnej miejscowości nieodłącznych Wreszcie nieco dalej, wśród lesiennej zanikającej zieleni, 50 działek pod nowe zagrody; naczelnik jednak nie sa one osadzone na nowym terenie, nie zmniejszała uprawności nól. Przeciwnie, bilans ziemi powinien

oko
-lice
sztuki
-ki

Co nam
z tego?

Kamena str 8

W 1911 roku niejaki Leandre, Francuz naturalnie, wykonał karykaturę „Mony Lizy” Leonarda da Vinci, ozdabiając oblicze kobiety wąsami. Ten sam zabieg, powtórzony dziewięć lat później przez Marceta Duchampa (pomyśl) i Francisca Picabia (realizacja), stał się precedensem późniejszych działań z terenu sztuki, które programowo lub tylko technicznie odwołując się do specyficznej ozdoby tytułowej strony dwunastego numeru pisma pt. „391” głoszącego da-daistyczną wolność totalną, opisaną tutaj praktykę uczyniły czymś tak normalnym, jak na przykład picie kawy brazylijski czy delektowanie się masłem śmietankowym u nas „Gioncondę” i inne słynne obrazy preparowane na różne sposoby, rzecz można — gwałcono reprodukuje co głośniejszych mistrzów renesansu czy baroku, choć nie tylko Picabia na przykład, wystawił kiedyś pluszową malpę, którą otoczył napisami: „Portret Cezanne’a — Portret Rembrandta — Portret Renoira — Martwe natury”.

Najlepsze przy tym numery wy-czyniali z dziełami uznanych artystów spece od reklamy, i przezrocznego autoramentu satyrycy oraz ilu-

stratorzy którzy — ośmieleni przez św. Duchampa stwierdzeniem że sztuka jest tylko konwencją, czynią umownym, a więc łatwą ulegającym przekształceniom — wprowadzili plótka Rafaela, Tytjana holenderskich autorów martwych natur, a własnie ich fotografie lub kopie malarzkie, na wystawy supermarketów, do wnętrza domów towarowych w charakterze elementów czysto reklamowych, podnoszących wizualną atrakcyjność oferowanego towaru. „Mona Liza” zachęcająca panie do kupna majtek czy „szódek” z górnych partii anatomii — tak, to było coś!

Można przy tym zauważyć, że w systemie gospodarki wolnorynkowej wszystko, przedzej czy później, przekształca się w towar vel mamonę, że każde chwytliwy dozwolone, że dorodne owoce lub karpie z obrazków holenderskich XVII wieku wieszano na ogół w jadalniach mieszczanek, aby pociągowały apetyt gospodarzy. Więc nie ma sprawy. Tym bardziej, iż od lat dwudziestych, a na pewno w drugiej połowie pięćdziesiątych naszego stulecia pewne odłamy sztuki zwanej awangardową programowo walczą z tradycją a ich protagoniści kwestionują coś takiego,

jak tzw. niezmienniki estetyczne, związane z formą plastyczną.

Tak, to wszystko wiemy, w tej o-pityce poznawczej możemy odnaleźć nie jeden argument emulujący do takich czy innych negacji wartości artystycznych i kulturowych, aktualnych, dajmy na to, 30 lat temu. Przyznam się jednak, że kiedy w Polsce 1978 roku spozstrzegam na wystawie sklepu z odziecia, w Lublinie zresztą, kopie malarzską fragmentu autoportretu Matejki, a zaraz obok — kopie dzieła tegoż artysty pt. „Kazanie Skargi”, to po prostu odczuwam alebaki niesmak i przygnębienie. Prawdopodobnie byłoby one mniejsze — może w ogóle by ich nie było? — odybym wśród fatalazków, całkiem nawet twarzowych, spozstrzeł jakis pejzaz kapistowski, akt czy martwą naturę. W tego rodzaju malarstwie chodziło bowiem o dobrą, a harmonijną robotę, o uzyskanie dziełowości i świetlistości piktoralnej, która mogłaby nieoczekiwanie ładnie kontrastować się z dobrą robotą naszych znanych dziełarzy i projektantów tkanin, kształconych w łódzkiej wuszej szkole plastycznej Oczuwam, choćby było, jakowac martwa natura Cybisa w takiej scenerii, ale...

A KTO JĄ PROJEKTUJE?

Tadeusz Jasiński

był korzystny. Mimo wzrostu liczby pracodawców zatrudniających inżynierów i kadrowych, w sumie przywrócić zostanie rolnictwu około 25 hektarów dobrej ziemi, spośród dotychczasowej zabudowy. Wyczerpane ceramiczne tej gminy dają rocznie półtora miliona cegieł i pustaków, jednak inspektor do spraw budowlanych Jan Lukaszewicz ma podobne zdanie, co jego kolega z sąsiednich Dzierżkowic. Nadto dodaje jeszcze, że wąskość dalek budowlanych na starym terenie i przepisy przeciwpożarowe sprawiają, iż często trzeba rolnika namawiać, aby zrezygnował z kooperówki, a zgodził się na dach jednostronny.

— tłumaczy się inwestorowi co jest dobre, co ładne i funkcjonalne. Z tego ostatniego skorzysta, ale gdy chodzi o wygląd budynku, to on i tak zrobi po swojemu. Co mu majster doradzi, a ten podpowiada mu jakie rozwiązania, jakie mu najlepiej wychodzą, powieła po prostu i powtarza. Rolnik kupuje projekt typowy, bo tani, trochę mu go w Zespole Usług Projektowych w Krasniku dostosują do tego, co podpatrzył gdzie indziej, albo sobie wyobraził i tak to się u nas buduje. My nie możemy przeciw temu, zresztą nie ma kierunku z góry, żeby było wymagane...

Zapytałem obu inspektorów — którzy przecież są doradcami naczelników w sprawach budowlanych, często w ich imieniu podpisują zezwolenia, rozpatrują projekty — czy czują się powołani do tego, aby w tym poradnictwie upierać się przy takich podstawowych zasadach estetycznych wobec rolników, którym wydają zezwolenia, a technikom budowlane dają im odpowiednio przygotowane, aby o tych sprawach decydować, rozpatrywać się w subtelnościach architektury, szczególnie tam, gdzie istnieje lub ma powstać zabudowa zwarta. Poinformowali, że moje pytania są retyryczne, nawet gdy próbowałem uzyskać opinię o projektach.

— Ci w zespole usług są przecież najczęściej takimi samymi technikami, jak my. Jest tam kilku inżynierów, nie zawsze nawet budowlanych, a architekta żadnego. No, a my my jesteśmy po to, aby przestrzegać prawa budowlanego. Interesów rolnictwa, mamy pomagać, nie przeszkadzać.

Potem już próbuję o to samo niepokoić inżyniera Jana Sztajera, kierownika Zespołu Usług Projektowych w Lubelskim Zarządzie Inwestycji Rolnych Filii Istniejącej w Bełżanach, Białymbrze, Krasniku, Lubartowie, Lublinie, Opolu, Puł-

wach i Rykach, skupiając około 300 projektantów. Inż. Sztajer i jego koleżdy nie zaprzeczają charakterystyce gminnych inspektorów Rzeszywiecie, skład osobowy taki właśnie jest. Gdy chodzi o architektów, można ich zliczyć na palcach jednej ręki. A i istniejący nie mogą się podjąć usług projektowych, bo nie uzyskują zezwolenia od wojewody i swoich dyrektorów. Również wielu inżynierów nie może ubiegać się o taką zgodę. Pozostają więc technicy budowlani. Im kierownictwa rzadko stawiają przeszkody, bo nie zajmują stanowisk. Istniejące zarządzenia resortowe różnie są interpretowane, przede wszystkim powodują zakazy przyjmowania dodatkowej pracy.

Dociekam więc, czy projektanci z tych zespołów usług projektowych, rozrzuconych po całym kraju, nie odczuwają skrupułów. Czy pojmują, jak pomagają zaspęcić wieś polską przynajmniej na najbliższe 80—100 lat. Długa chwila zadumy u mojego rozmówcy, w końcu smutnie stwierdzenie:

— Nie, raczej nie odczuwają swej winy, oni po prostu nie pojmują tego problemu, nie rozumieją swojej niekompetencji. Są jedynymi, którzy decydują tam — w zespole i niżej — w samej gminie i zagrodzie rolnika. Byłoby szybko i więcej przerobić projektów typowych, byłoby można było rozliczyć rachunek.

U głównego architekta województwa w Lublinie, Olgierda Olszewskiego, spotykam mniej pesymizmu, również kierownik pracowni planów miejscowych „Południe”, architekt Kazimierz Majewski, znajduje wiele punktów jasnych. W ich interpretacji stanu rzeczy nie dostrzegam wprawdzie różnic z przedstawionymi tu spostrzeżeniami, jednak widzą oni możliwość ingerencji ludzi swego zawodu w kształtowanie ładu przestrzennego na wsi, możliwość tego łączenia z architekturą i budownictwem. Nie istniałyby dawne powszechnie plany zagospodarowania przestrzennego wsi lubelskiej, tymczasem w 1974 r. zostały opracowane i zatwierdzone uproszczone dla wszystkich emin makroregionu, a rozwijały programy z lat pięćdziesiątych i niektóre z lat sześćdziesiątych. Obecnie przestawia się do opracowania już nowych planów przestrzennego zagospodarowania emin. Proces ten zostanie zakończony w roku 1980 i obejmować będzie problematykę kształtowania na rozwój wsi w przyszłym dziesięcioleciu, a w wielu wskaźnikach i ustaleniach na lat osiemdziesiąt, bo taka jest żywotność budynków.

Właściwe więc lub błędne postanowienia z najbliższego czasu, ich realizacja bezpośrednio w gminach i wsiach zadecyduje, jaka będzie ta druga Polska także i w naszym regionie. Architekci i inżynierowie — rolnicy osiągnięciem widzą już w samej idei większej koncentracji wiejskiej zabudowy, a więc w oszczędności ziemi uprawnej, scaleniu gruntów ornych wpływie tych założeń na gospodarkę żywnościową, łatwiejsze wprowadzanie osiągnięć cywilizacyjnych: wodociągów, ciepłownictwa i gazownictwa, odpływu ścieków itp., przy równoczesnym zachowaniu walorów przyrodniczych. Cenią sobie bowiem także wskazania wytycznych do wspomnianych planów szczegółowych, jak np.: „Wyrazem racjonalnej gospodarki przestrzennej na obszarach wiejskich jest ich krajobraz. Określają go zarówno przyrodnicze, jak i stworzone przez człowieka elementy zagospodarowania (...). Istotne jest zwłaszcza: zachowanie i ochrona wartościowych, przyrodniczych i kulturowych elementów i układów istniejącego krajobrazu, zapewnienie harmonijnego współdziałania nowo tworzonego elementów krajobrazu z istniejącymi (...). Niezbędne jest w tym przypadku konsekwentne kształtowanie elementów nowej zabudowy w sposób nawiązujący do naturalnych cech krajobrazu oraz specyfiki regionalnych tradycji architektonicznych”. Właśnie Stanisław Małecky pokazuje mi mapy Urzędowa. Tak, tam uwzględnia się już te wszystkie wskazania, rzeczywiście rola projektujących może okazać się znacząca. Przekonałem się, że obecna architektura ośrodka gminnego nie jest bardzo zahytkowa, że mogłem oglądać na starych fotografiach, ale warto odnieść się i na tym, co pozostało. Zadbajcie, aby więc pierzele domów były odpowiednio, ale co dalej, co na tych pięćdziesięciu działkach?

Mówimy o utrudnieniach budowlanych dla ludzi spoza rolnictwa, choć temu służącym i o tych kandydatkach, którzy pracują w mieście, ale budować się i mieszkać pragną na wsi. Dla nich wybita, szczególnie na Lubelszczyźnie, gdzie gruntu są za dobre, czarna godzina. Wicedyrektor Biura Planowania Przestrzennego Urzędu Wojewódzkiego, Andrzej Tymbański, widzi w tym rządowym postanowieniu zapórę skuteczną, ale i narzędzie obrotowe. Byłaby ulga dla miast, tymczasem leżałby ma ktoś zapłacić za działkę budowlaną 150—200 tysięcy złotych, a przed uzyskaniem wysokoprocentowych kredytów wpłacić

się posiadaniem reszty środków, — bo inaczej budować nie będzie w stanie, to skorzysta jedynie z taniego projektu typowego. Do architektów — głównie ten nawet uzyskał prawo stania się twórcą — oczywiście się nie zwróci. Inżynier Majewski określa to chyba najprościej: — Buduje się to, co rzemieślnik potrafi. Tam, na dole, brakuje kogoś, kto rozmawiałby z gospodarzem, omiał go przekonać, że za te same lub mniejsze pieniądze można budować ładniej. Inżynier Sztajer powiada, że w inwestycjach rolnych zadania poradnictwa są spełniane, jednak efekty widzieć niemożna. Inspektorzy do spraw budownictwa są takimi, jakimi są, projektanci także — więc czego możemy się spodziewać? A sami inspektorzy twierdzą, że najostrożniejsze nawet zarządzenia nie są zbyt wielkim utrudnieniem dla budowania się osób spoza rolnictwa, bo każdy z nich „ma jakieś zahaczenie” o ojca, o brata gospodarza. Tamten bierze to na siebie i pod jego nazwiskiem uzyskuje zezwolenia. Dawniej od dwóch, teraz od pół hektara chłop uznawany jest za gospodarza i odmówić mu nie można.

Trwa więc i trwać chyba będzie ta radosna twórczość budowlana. Udział architektów w szczegółowych nawet planach przestrzennego zagospodarowania zbyt wiele uratować tu nie może. Liczy się bowiem każdy potworek wbudowany w teren na całe dziesięciolecie i nie wiem, czy razi on mniej w pejzażu wiejskim niż w miejskim. Na wsi jest widoczny jeszcze bardziej, a właśnie tam możliwa byłaby Polska ładniejsza. Owszem, każdy plan jest tylko próbą pogodzenia sprzeczności. Interesów: inne dążenia mają ci, którzy muszą zapewnić drogi i komunikację, inne ci od wody i gazu oraz wysokiego napięcia, a w to wszystko trzeba wbudować właśnie gospodarstwo rolne, domy mieszkalne, usługowe, związane z kulturą i zdrowiem. To jednak za mało. Plebejnarz, chociaż posiada średnie, a nieraz już wyższe wykształcenie, nawet inżyniera, nie poddaje się operacji. Tymczasem majster i technik budowlany, inżynier otrzymał niejako monopol na projektowanie, ostateczne i niepodważalne prawo decydowania, jak zostaną wydatkowane miliardy złotych z rolniczego trudu, jak będzie kształt Polski w tej wiejskiej części i nie tylko. Potrzebna jest rewizja zarządzeń, a przynajmniej inna ich interpretacja. Ważniejszy jest kształt regionu, niż to, czy ktoś dodatkowo zarobił trochę w wolnym czasie kilkudziesiąt tysięcy złotych.

Z Matejką przecież inna sprawa. W jego twórczości nie liczy się tylko malarstwo, métier, mistrzostwo formalne, które przetrza niektórzy przynajmniej częściowo kwestionują. Wpisanie doń autor „Holdu pruskiego” wyłącznie w dzieje polskiej kultury artystycznej byłoby jałowym nieporozumieniem. Niepota, wtruchem nieuczuciem wobec historii narodu, który to i onco przetrwał. Winnikmy szacunek dla tego wielkiego dzieła, ponieważ miało ono i po części ma nadal poważny udział w formowaniu polskiej tożsamości. I dlatego właśnie nie widzę powodu, aby dramatycznie twarz człowieka, który ostrzegał Polaków przed zuba, wspominała handel — nawet ludowy i luksusowy.

Przypomniałem raczej dość dobrze znane. No właśnie: czy, znane? 8 października trafiliśmy do nowego klubu kultury w Lublinie, aby wśród bezładnych rysunków satyrycznych młodego autora gdzieś tak po trzy dziesiąte wytrzeć dawcianną parafrazę jednej z kiedkowskich planów Artura Grottnera, związanej z powstaniem styczniowym. W fotostanie obrazu, przedstawiającego zwiastującą męczennicę w północy, obraz kobiety w dramatycznym, pełnym tużownicim imiatał czarnym kapturze, do gazu i kamizelowy „dymek” z takim

tekstem: „Watawaj! Gaa przywieź-lij!”

Tymczasem: „Małpa tych cykliów polega na tym, że atakują one pewne neoroligiczne centra polskie, wyobraźni, apelując do patriotycznych uczuć i wywołując kult bohaterstwa” — jak zauważył w 1962 roku Tadeusz Dobrowolski, dodając, że twórczość zmarłego w trzydziestym roku życia artysty zyskała wielki rozgłos, mimo swojej akademickiej formy, anachronicznej wobec tego, co działo się wówczas w sztuce Europy zachodniej. Zyskała sławę poprzez swoje namiętne emocjonalne, które znajdowało rezonans w nastrojach Polaków.

Wspominam o tych oczywistych sprawach z zakłopotaniem, spowodowanym również tym, że młody autor zapowiada się dość interesująco jako rysunkowy felietonista dysponujący tym pomusem, pewną sprawnością i wyrazistością i wspaniałym spojrzeniem. Na pełną jego dojrzałość poczekamy jednak jeszcze trochę. A nad sprawą dojrzałości warto się chyba zastanowić właśnie w wypadku kogoś kto próbuje kłamać kompromisem. Stwierdzić stanowisko wobec jego problemów.



Z
PLENERO
W
JANOWSKIEJ
STADNIE

Reprodukcja
obrazu
Joanny
Sztejn-Kuś

Teatr przeciw sobie

Dokończenie na str. 1

opanowany ton jej ostatnich manifestacji, nie jest po prostu wszechogarniającym nasz teatr uczuciem kompletnej bezradności? Od lat wytykamy palcem te same sprawy, nawet tych samych ludzi. I co? Nic. Przepraszam — niezupełnie: pisze się dużo, za dużo. „Głową muru nie przebijesz”. Walenie w mur tak cenną częścią ciała, to gest samobójczy. Do zbiorowego samobójstwa nie będę namawiał, za to rad bym wskazać na zgola samobójcze tendencje w naszym życiu teatralnym.

Kim pan jest, dyrektorze?

Bożena Frankowska: „Tymczasem można by zażytkować twierdzenie, że właśnie bardzo wiele teatrów w Polsce dostało się w ręce dyrektorów i kierowników artystycznych po pierwsze: niefachowych, po drugie: nieodpowiedzialnych.”

Pięknie. To wiemy. Zatem jak, u diabła, wyłmaczyć, te coraz częstsze zmiany na dyrektorskich stołkach w ostatnich latach? Potrzebą „nowej krwi”, planową reformą kadry, żądaniem wysuwanych przez środowisko?

Bożena Frankowska: „Niewiele mają tu też do powiedzenia, w trybie informacyjnym czy opiniodawczym, właściwe instytucje: Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz SPATiF. Ministerstwo Kultury i Sztuki powinno być, mimo iż dyrektorów formalnie angażują władze wojewódzkie, instytucją nie tylko nominującą ale rozliczającą dyrekcję z jej osiągnięć lub porażek.”

Trzeba postawić w sposób odpowiedzialny i kompetentny najważniejsze pytanie: Kim pan jest, panie dyrektorze? Odważnie. Po obywatelsku, i jeszcze jedno: trzeba podać do wiadomości publicznej nazwiska ludzi, którzy to pytanie postawiają.

Najwyższy ku temu czas.

W kręgu mitologii: eklektyzm

Jerzy Bajdor: „Te niepowodzenia mówią coś więcej, mówią o stanie świadomości teatru. Plany repertuarowe wielu scen stały się pewną rzeczywistością umowną, sumą deklaracji bez pokrycia”.

To prawda. Zaskakujące zestawienia pozycji repertuarowych w większości teatrów trudno posądzać nawet o cień myśli koncepcyjnej, nie mówiąc już o konkretnym programie repertuarowym, o świadomej linii ideowo-artystycznej teatru. Uczestniczyłem w wielu naradach repertuarowych i nie są mi obce owe „tajemnicze” kryteria, obdarzające swą łaską tego lub innego autora. Odsłońmy więc rąbka tajemnicy: kryterium 1 — frekwencja (jak długo grano daną sztukę w innych teatrach), kryterium 2 — tłumacz (gdy tłumaczem sztuki jest znany recenzent), kryterium 3 — kokieteria (zrobić dobre wrażenie), kryterium 4 — prapremiera (jest się pierwszym przed resztą, ma to pewne znaczenie na festiwalach), kryterium 5 — życzenie reżysera lub wpływowego aktora (zwłaszcza gdy reżyseria gościnna, a aktor „niezastąpiony”), kryterium 6 — moda (przy błogosławieństwie krytyków), kryterium 7 — karnawał (coś lekkiego), kryterium 8 — dzieci (nie wybrzydzą, no i „choinka”), kryterium 9 — zaskoczenie (coś eksperymentalnego — tylko dla odważnych lub głupich dyrektorów).

Te kryteria „od lasa do lasa” dają w konsekwencji magiczne słowo: eklektyzm. Eklektyzm, motywowany nie pomieszaniem kryteriów wyboru, ale rzekomo potrzebami ujawnionymi przez publiczność. Przez rozwarstwienie intelektualne i społeczne. Zakłada się zatem z góry stanowisko odbiorców w sprawie repertuaru oraz tegoż stanowiska znajomość. Jedno, a szczególnie drugie jest tylko pobożnym życzeniem. Teatr do dnia dzisiejszego nie wypracował skutecznych sposobów penetracji środowisk swych potencjalnych odbiorców. Skromne osiągnięcia socjologii teatru niewiele tu wyjaśniają.

Jednakże wieloletnie powoływanie się na niejednorodny skład widowni usankcjonowało słowo „eklektyzm”, nadając mu siłę zwalniającą od myślenia na temat profilu repertuarowego. Rzeczą szkodziwą jest częste przemilczanie kryteriów właściwych: ideowych i estetycznych. Są one po prostu

nieopłacalne finansowo. Czy długo jeszcze kasa zostanie najważniejszym miejscem w teatrze?

Ten wstrętny reżyser

Stanisław Marczak-Oborski: „Mówię o dyktaturze reżyserskiej, która przeradza się w coś, co nazywałbym grafomanią reżyserską. Dochodzi niejednokrotnie do sakryfikacji niekontrolowanej artystycznie — a nawet powiedziałbym: kulturowo — inwencji reżysera, który niszczy wartości niewątpliwe, dając w zamian popis własnej pretensjonalności...”

Mocno powiedziane. Nawet nie bez pewnej racji. Ale przestrzec należy przed wynoszeniem nielicznych przypadków do rangi prawidłowości. Przed „wypuszczeniem na siebie” współtwórców szlachetnej sztuki teatru. Nie dajmy się zwariować. Nie ma bardziej szlachetnego hasła, niż „terror reżyserów”. Potwierdzi to każdy twórca aktor.

Ujawniająca się często dominacja reżysera nad aktorem ma znane wszystkim przyczyny. Pierwsza: założona z góry przewaga, wynikająca z faktu, iż to właśnie reżyser nadaje przedstawieniu nadrzędny sens, organiczność i logikę; druga: predyspozycja aktora nierzadko wymagająca adaptacji do charakteru danej sztuki. Tak więc: dominacja reżysera nad aktorem wynika przede wszystkim ze słabości twórczej aktora, a nie z chęci wywarcia terrorystycznej presji. Dobry aktor zresztą nie pozwolił sobie narzucić niewłaściwej interpretacji. Tylko źli aktorzy wymuszają na reżyserach, by ich „mustrowali”, myśleli za nich, a potem by usprawiedliwić własną indolencję zrzucając winę na reżysera-despotę. Tylko naiwny, niezorientowany krytyk (przecież nie uczestniczy w próbach) może uwierzyć w walkę reżysera z aktorem. Posiedźcie fro-



Rys. M. Muła

chę, panowie, na próbach w teatrach prowincjonalnych, a przekonacie się jak wiele uczciwego wysiłku wkłada reżyser w to, aby aktor mógł w ogóle wyjść na scenę.

Oskarżenie reżyserów o to, że niszczą aktorów jest niesmacznym żartem. Więcej — przy obecnej degrengoladzie zespołów twórczy aktor może liczyć tylko na reżysera, na nikogo więcej.

Autor! Autor!

Od dawna już nie wchodzi na scenę autor dramatyczny, wityany burzą premierowych braw. „Znowu nasuwa się pytanie: z czego to wynika? Wydaje się, że z zepchnięcia dramatu w teatrze na daleki plan, z tego, że dramaturgia traci jakiegokolwiek prawa, że staje się „scenariuszem” dla byle kogo”. (Stanisław Marczak-Oborski). Słowa, słowa, słowa...

Bo problem jest o wiele poważniejszy i nie da się go zbyć „byle” epitetem. Nieobecność współczesnej rodzimej dramaturgii w teatrach jest związana z jej (niestety!) słabym poziomem. To nie niechęć reżysera do autora sprawia, że często dramat poddany zostaje teatralnej obróbce; wynika to przede wszystkim z jego wadliwej konstrukcji.

Trzeba stworzyć możliwości dla partnerskiego zbliżenia i prawdziwie twórczej współpracy dramaturga z reżyserem. Dlaczego parający się dramatem nie uczestniczą w próbach teatralnych? Dlaczego nie wyciągają wniosków z przemian i przeobrażeń współczesnego teatru? Wzajemne ustępstwa nie przyniosą ujmy żadnej ze stron. Jeśli teatr broni się przed słabym dramatem, to ma na to bardzo konkretne argumenty. Należy się z nimi zapoznać. Nie można budować uogólnień na podstawie kawiarnianych utyskiwań. Nie możemy sobie pozwolić na to, aby twórcy literatury odsunęli

się od teatru. Byłoby to z ogromną szkodą dla narodowej kultury. Nikt tego nie chce: nawet ci, co „chcą kreować siebie”. Iu ich tak naprawdę jest? Może kilku.

Przeciw beznóżkom

„Nasze beznóżki dążą do obniżenia poziomu teatru, bo w słabym teatrze mało widać ich beznóżkowatość. Zdarza się, iż wykorzystują jako teren swych działań organizacje polityczne i społeczne, funkcjonujące w teatrach. Bywa, że i dyrektor jest beznóżkiem. Wówczas sojusze szeregowych beznóżków z beznóżkiem kierującym stwarza szansę trwałości beznóżkowego układu. Nieliczna ale ruchliwa grupa ludzi niczego nie umiejących czyni zamieszanie w obrazie stanu aktorstwa w Polsce.” (Jan Kulczyński).

Beznóżki istnieją, to fakt. Posiadają dobrze wszystkim znane nazwiska. Jak zatem zidentyfikować takiego beznóżka? Proszę bardzo.

Po pierwsze: beznóżek traktuje pracę w teatrze jako zło konieczne, jego żywiołem jest chultura. Jego scena to kluby, szkoły, imprezy rocznicowe. Tutaj go naprawdę doceniają, tutaj może „sprzedawać” byle co, i to często za niemałe pieniądze. Do swojej beznóżkowej pozateatralnej działalności dorabia beznóżek ideologią. Powiada, że prowadzi cenną działalność upowszechniającą teatr w różnych środowiskach. Wierzą mu. Dostaje jakiś medal albo nagrodę wojewódzką. W prywatnej rozmowie beznóżek ujawnia prawdziwą motywację: „Stary, szmal leży na ziemi. Gaża? Starczy dzieciom na cukierki!”

Po drugie: podstawową zasadą aktywności beznóżka w teatrze jest jak najmniejsza utrata energii. W teatrze beznóżek odpoczywa. Gdy proszą go na scenę, z nieukrywaną niechęcią opuszcza przytulną garderobę. Zupełnie nieprzygotowany do próby, niecierpliw, często agresywny demonstruje z uroczą beztroską swój stosunek do pracy: „Skoro już mnie ściągnięto z garderoby, to co mam robić, panie reżyserze? „Beznóżek ciągle spogląda na zegarek. To on pierwszy protestuje przeciwko przeciągającej się próbie, a przed spektaklem agituje: „Grajmy szybko, koledzy!”

Spółeczność beznóżków charakteryzuje także wprost niezwykła solidarność, oparta rzecz jasna na wspólnocie interesów. Beznóżki organizują się, u-

macniają swoje wpływy, przenikają do organizacji społecznych. Wykazują zadziwiającą aktywność. Często są lubiani i darzeni zaufaniem. I tylko czasem (rzadko) pojawia się zagrożenie. „Nowe” wtargnęło do teatru, domaga się zmiany, reformy. Wtedy beznóżki w obronie własnego wygodnictwa i miernoty przypuszczają atak. I wtedy właśnie ich beznóżkowatość staje się najbardziej uchwytana.

Beznóżki czują się najlepiej w letniej temperaturze, w klimacie umiarkowanym, bezwietrznym, w miłym ciepłku bufetowej paplaniny, w atmosferze przesłodzonej zyczliwości. Odwiedzając jakiegokolwiek teatr nie dajmy się zwieść spokojnej atmosferze przesyconej sporą porcją tyle wyrozumiałości, co zrezygnowanych uśmiechów. Tutaj nie rozwiązują się konfliktów, ale się je obłaskawia.

„Nie wierzę, iż byśmy wychowali aż tylu złych aktorów. To tylu aktorów stało się zlymi aktorami. W objazdach, w zwiłokrotnionym tempie prowincjonalnej harówki — ale także w deprawującej bufetowej bezczynności w wielu dużych teatrach.” (Andrzej Żurowski).

To prawda. Nie cała wszakże. Najistotniejszą sprawą, a zarazem najgroźniejszą, jest coraz bardziej opanowujące świadomość ludzi teatru przyzwolenie na nijakość, na pracę nieprzemysłaną, w pośpiechu, przy zaniżeniu wymagań i zagubieniu poczucia zawodowości. Począwszy od dyrektorów, którzy tolerują reżyserów porzucających zespół na tydzień, dwa, bo mają chęć reżyserować jednocześnie w dwóch teatrach — poprzez aktorów, którym się wydaje, że ich cała rola sprowadza się do wykucia tekstu na pamięć — kończąc na przedstawicielach władz kulturalnych często kompletnie niezorientowanych w sytuacji podległego im teatru, nierzadko ze względów „towarzystw” przyzwalających na kontynuację niechlubnej działalności — wszystko to rodzi dyktantyzm i lenistwo, sprawia, że w świecie teatru dominuje powszechna niewiara w talent i istotę siły twórczej.

O problemach polskiego teatru można pisać bez końca, żonglować argumentami, cytować kokietować „mieszać” w środowisku, zastępować poważną dyskusję wyglupem. W końcu i tak człowiek dochodzi do wniosku (jak ja pod koniec tej pisaniny), że chociaż sens w tym może i jest, praktyczne skutki tych zwierzeń będą żadne. No, niezupełnie... Narząże się kilku recenzentom, kilku dyrektorom, kilku aktorom — słowem tym, którzy w tych wizerunkach odnaleźli siebie.

W poczuciu powszechnej i osobistej bezradności tli się jednak iskierka nadziei, że może nadejdzie taki czas, kiedy o naszych sprawach żywotnych będziemy rozmawiać językiem precyzyjnym, narwieśmy rzeczy i ludzi po imieniu, i nie będzie w nas strachu, ni fałszu, tylko jeden wspólny OBOWIĄZEK. Amen.

Józef Jasielski

Wyznanie

MEGO przyjaciela poznałem tak, jak zwykle poznawano się ludzi o podobnych zainteresowaniach w wieku lat szesnastu, a pomógł mi w tym chyba wspólnie wypalony papieros, jako że wtedy jeszcze nie wolno nam było tego robić publicznie. Był czas jesieni, czas, w którym zaczynają fruwać nitki babiego lata, ono tak ładnie i powoli osiada na naszych postaciach, tworząc przedsmak zimy; niektórzy nazywają te chwile indyjskim latem, co dla nas, ludzi ze wschodu jest prawie wyłącznie niezrozumiałym, nieco nostalgicznym porównaniem, a może innym słowem, jeszcze niedokładnie znanym, toteż nie można nim operować w szerszym gronie. Dla mnie była to po prostu wczesna jesień, moment, gdy drzewa dopiero zaczynają żółknąć, są w przeważającej części zielone, podobnie jak my z przyjacielem, przed niespełna sześciu laty, gdy pod wielu, wielu względami byliśmy zieleni i niedoskoczeni, podobnie jak młody żywopłot, niedawno posadzony pod moim oknem, przypominający na razie wystawę miotł, zupełnie odmienny od swego starszego brata, tak wspaniale ukrywającego me okno przed wzrokiem nieupoważnionych do tego, by w nie zaglądać.

Pamiętam prawie dokładnie ten dzień, gdy wszyscy byliśmy jednostajną szarością, przyodziani według przepisu i dokładnie nie wiem do dziś, co wyróżniało go spośród mas, ale wiem, że to właśnie ja wtedy zaproponowałem wspólny z nim spacer, chwilowe wyrwanie się z ustalonego porządku po to, by w spokoju mieć możliwość wypalenia kilku

miligramów „narkotyku wolności”, jak nazywaliśmy wtedy papierosy marki „Sport”, jeszcze po starej, niskiej, acz i tak dla nas wysokiej cenie, pozoru dorosłości.

Blizsze poznanie sprawiło, że inaczej zaczęłam traktować mego przyjaciela. Okazał się człowiekiem trochę trudnym do współpracy, lecz jednak ta znajomość dawała mi bliżej nieokreśloną satysfakcję, może dlatego, że życie niejednostajne nigdy nie może być nudne, a pewne scysła się za tylko pewnym urozmaiczeniem, może nie najlepszym, ale z kolei lepszym niż żadnym. Parokrotnie robiliśmy sobie różne rzeczy na złość, ale ani on, ani ja nie miałem nigdy z tego powodu choćby cienia żalu, no, może kiedyś, raz, ale wtedy była to już zupełnie inna, bardzo poważna sprawa, chodziło o jakąś kobietę, on był cholernie zdenerwowany i nawet zapowiedział mi, iż następnym razem obije mi mordę, a ja nie wziąłem tego nawet do siebie, bo sprawa była dla mnie przynajmniej epizodem bez wartości. Jednak wtedy dowiedziałem się, iż w sprawach miłości przyjaciel mój jest bezwzględny, nie dopuszcza do swej wybranki nikogo z mężczyźn, nawet gdyby jego tatuś chciał mu wejść w drogę, może w zaślępieniu syn pokieroszowałby ojcowskie oblicze.

Z tym Andrzejowym kochaniem to było różnie; dawał z siebie wszystko, co tylko mógł, a w zamian nie chciał wiele, chciał tylko tego samego, co ofiarowywał.

Obecnie jesteśmy ciągle razem, mamy już poza sobą przeróżne załamania, wloty i upadki, podobni do drzewa moje, które nie pokazuje

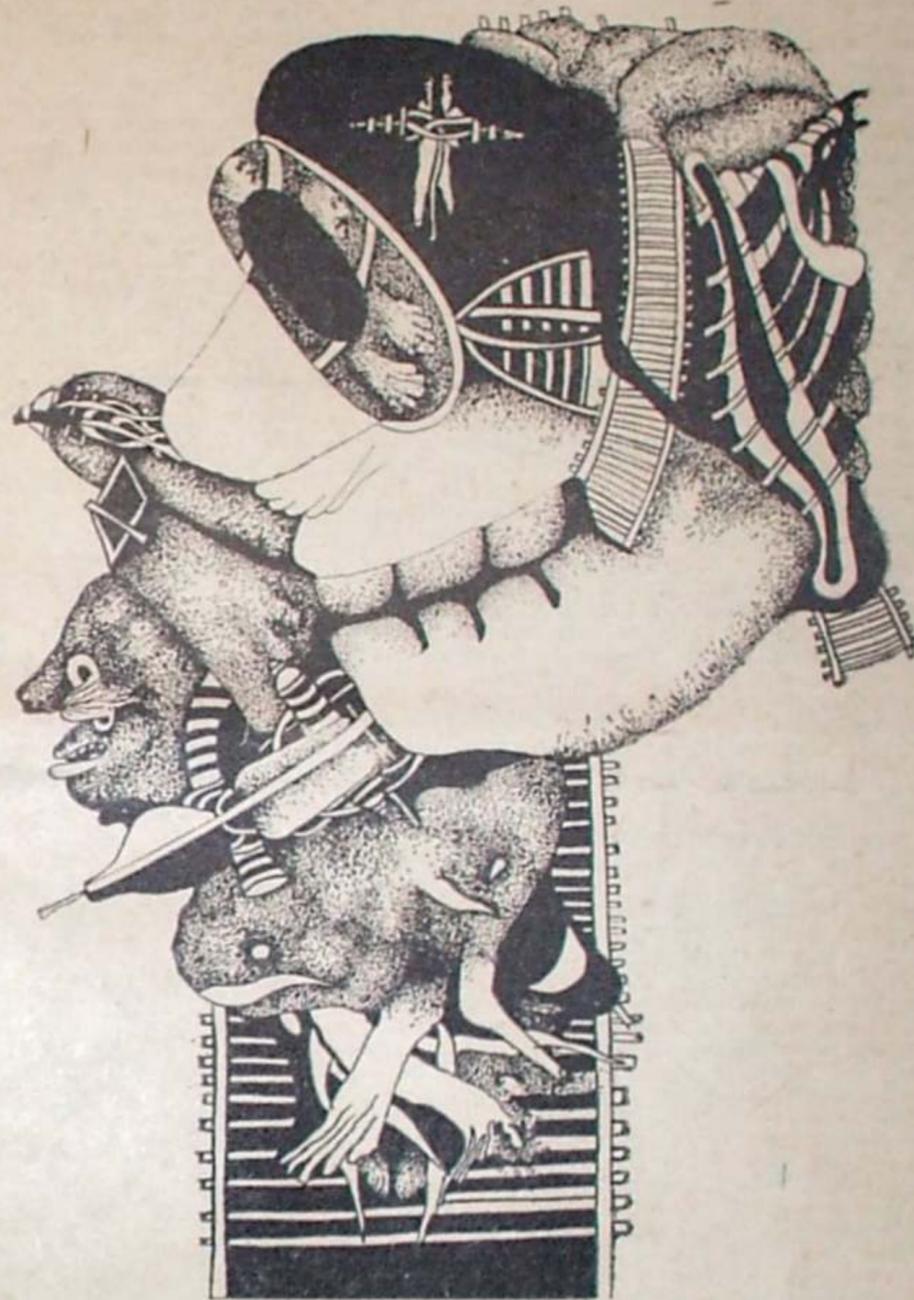
po sobie, iż cierpi, bo jakiś idiotą wyrzył mi na skórze na wieczną(?) pamiątkę napis „kocham” i serce przebite strzałą, a drzewo stoi i tylko niektórzy spostrzegawczy przechodnie postoją przy nim chwilę, pomedytują nad bezmyślnością innych ludzi, a większość pójdzie dalej, obojętna na wszystko.

Nieprzypadkowe są tu nawroty do przyrody, owe porównania. Oba z przyjacielem jesteśmy pod jej niewypowiedzianym wpływem, działa na nas może nie identycznie, ale chyba jednakowo silnie, bo przyjaciel nieraz wspominał, że jego największym marzeniem byłoby uprawianie różnych odmian miłości w jakimś ponadczasowym lesie, który nie został jeszcze chyba posadzony, pełnym niesamowicie poskręcanych, przerastających się nawzajem gałęzi, w otoczeniu właściwie ponurym, lecz bijącym w oczy mnogością kolorów, co chwilę zmiennych, przeciwnych, niemożliwych do opisu przez człowieka przyzwyczajonego do ziemskich nazw rzeczy, barw fascynujących, podniecających do

granic bólu i potem tak wspaniale odgrzybiających wzrok, gdy na nich spoczywa.

Prawdopodobnie poprzez telepatię poznaliśmy się w wielkim tłumie obcych osób, by być razem przez kilka ładnych lat, bo marzenie mego przyjaciela jest również moim marzeniem, głęboko ukrywanym, i nie jest to wcale plagiat, jak się może niektórym wydawać, bo to tkwi we mnie od dawna, odkąd sięgam pamięcią, to już było, chyba już na początku świata, kiedy naszym wspólnym praojcem nie śniło się nawet, że będą mieli dzieci.

Widocznie tam, w raju, było coś z tego świata mej wyobraźni, co poprzez genetyczne zapisy dotarło do dziś i oto doszedłem teraz do wniosku, że mój najserdeczniejszy przyjaciel jest moim bratem — bliźniakiem i wcale to nie jest ten wytarty od używania przy innych okazjach frazes, że wszyscy ludzie są braćmi, bo tamto jest tylko hasłem, a my zjemy naprawde i są na to namacalne dowody.



Rys. M. Mula

Cierpienie czytelnika

CZYTAJĄC jakiegokolwiek słowa, wypisane na kartkach papieru, a składające się na dzieło bardziej lub mniej ważne, nie zdajemy sobie sprawy z tego, że popełniamy czyn przestępny, jakim jest niszczenie ludzkiej pracy. Dla przeciętnego czytelnika jest to proces niezauważalny. Dopiero po kilkakrotnym przejrzeniu tekstu stwierdzamy, że litery są jakby trochę wyblakłe i niewyraźne. Zwykle zrzucamy winę za to na złą jakość farby drukarskiej, gdy tymczasem jest to wynik naszej zachłanności w stosunku do słowa pisanego. Mechanizm tego procesu jest podobny do tego, w wyniku którego odczuwamy zapach, wysyłany przez różne ciała, a ponieważ za każdym razem, gdy zbliżamy tekst do oczu, odczytujemy go tak samo, jasnym jest, że przy odbieraniu treści tekstu część bliżej nieznanego promieniowania zostaje wysłana od liter w kierunku naszych oczu.

Z punktu widzenia medycyny możliwy jest przypadek istnienia osobnika bardziej niż inni uczulonego na promieniowanie druku. Człowiek ten będzie doskonalszy swoje oczy wprost proporcjonalnie do ilości przeczytanych dzieł, aż dojdzie do takiego stanu, w którym oko będzie nie tylko detektorem, ale i pompą, wysysającą energię farby, a wówczas jednorazowe spojrzenie na płaszczyznę dzieła sprawi, że kartka stanie się dziewczę białe i wreszcie społeczeństwo uczyni go wyrzutkiem, ponieważ ludzie na ogół nie lubią, gdy ktoś im psuje robotę. Można też założyć, iż osobnik ten będzie posiadał bezczelne potomstwo, obdarzone takimi samymi cechami i własnościami. Wtedy w miarę, jak zbrodnicze geny będą się rozbiegać po świecie, ludz-

kość opanuje choroba groźniejsza niż dżuma, mimo że na pierwszy rzut oka nieszkodliwa, przynajmniej dla nosicieli. Przedstawiciele najwyższej na Ziemi inteligencji będą analfabetami.

Jeden z bliskich mi ludzi był właśnie takim okazem mutanta, żerującego na pracy pisarzy. Początkowo myślał, że litery straciły na kolorze w wyniku długotrwałego przebywania na świetle dziennym, ale zmienił zdanie po przeprowadzeniu doświadczenia z gazetą, leżącą godzinami pod kwarcówką, które to doświadczenie miało skutki zupełnie inne od spodziewanych. Wtedy przestraszył się i przez długi okres czasu irymał oczy za czarnymi szklami, aż wreszcie kiedyś spostrzegł, że to wcale nie jest wyjście, bo wzrok uczulił się na tyle, że nawet podwójnie dymione szkła nie były dostatecznie skuteczną przeszkodą przy czytaniu. Od owej chwili zaszył się w domowych pieleszach izolując się od słowa pisanego w każdej postaci i mając przy tym nadzieję, iż nieużywanie organu doprowadzi do jego częściowego osłabienia. Można by powiedzieć, że w pewnym stopniu mu się to udało; ponieważ nie miał możliwości przeprowadzenia sprawdzianu swych umiejętności, czuł się tak samo, jakby ich nie posiadał.

Podobno jakiś Francuz przez kilka miesięcy żył w całkowitym osamotnieniu w głębi jaskini. Więźniowie, skazani na dożywocie spędzają w celi prawie połowę życia. Mój znajomy i krewny nie odznaczał się zbyt dużą wytrzymałością psychiczną i po roku stwierdził, że prowadząc taki tryb życia w dalszym ciągu albo zwariuje, albo stanie się kompletnym analfabetą. Postanowił więc wrócić do społeczeństwa. Już pierwsze kontakty

wykazały, iż jego umiejętności nie tylko nie straciły mocy, ale co gorsza, wzrosły. Przyjaciel był niepołączony, ponieważ naraził się na kłótwę rodzicielską, kiedy to na oczach ojca pozabawił tekstu środkowe strony IV tomu jeszcze nie czytelnego „Czasu odnalezionego” M. Prousta, tak jak i okładki kilkunastu zagranicznych czasopism, rozrzuconych w artystycznym nieladzie po całym stole.

Tak więc pierwotny został wykłety i wyrzucony z domu rodzinnego z nakazem nieopowiadania się nigdy więcej. Scena ta, z drobnymi odchyleniami w zależności od sytuacji, powtarzała się wszędzie tam, gdzie mój znajomy zachodził w nadziei usłyszenia słowa współczucia i nawet żona powiedziała mu, że wolałaby być starą panną niż małżonką człowieka, który swoim postępowaniem uraga pracy wszystkich pisarzy bądź drukarzy świata. Nie mając żadnych widoków na przyszłość, przyjaciel postanowił zniszczyć to, co tak długo niszczyło dobroć i twórczość kilku stuleci. Na podobieństwo

Edypa wykłut sobie oczy i wyrzucił do kosza ze smieciami, a obecnie szuka nazwy dla swojej choroby; niewykluczone jest, że zostanie ona nazwana jego imieniem. Dowiedział się od sąsiadów, iż strzępy gazet, leżące w pojemniku w niewytłumaczalnym sposób zostały pozabawione druku, co utwierdziło go w przekonaniu o beznadziejności swego przypadku. Od tej chwili lekarze oprócz poszukiwania serum antyrakowego mają za zadanie wynalezienie środka mniej drastycznego od tego, którym posłużył się mój przyjaciel. Do czasu jego odkrycia najskuteczniejszym lekarstwem będzie zwykły, lekko zagity gwóźdź, co z pewnością pociągnie za sobą wzrost ich produkcji i w rezultacie odwróci uwagę producentów od innych środków zagłady masowej, co z kolei spowoduje zmniejszenie ilości wojen na świecie, ale pomimo to nie sądzę, by była to choroba pożyteczna.

Marian Tyra

ROZCHODZI MI SIĘ WE WSZYSTKIE STRONY

Pokrzywione zdania
niekiedy całe słowa upadły
a oni uniosą i przebaczą
co do litery

kolem chodzę po świecie
rozchodzi mi się we wszystkie strony
ileż osób ma mnie trzymać
pod ręką zanim pójdę
własnym prostym wierszem

już nieraz przysięgałem sobie
na moją głowę
na moje miejsce
przy Jesieninie Galszczyńskim

i znów mnie kusi
choćby jednego a
wreszcie nie raz się żyje
Panowie
za Wasze Zdrowie

bez wątpienia na odległość
co do stąpania
poznają się po każdym
ruchu i powiedzą jak żona
to znów dzisiaj wszędzie byleś
wreszcie usiądź snem
może ci przejdzie
może ci przyjdzie

INAUGURUJĄCY corocznie sezon koncertowy Lubelski Wrzesień Muzyczny zyskał sobie dużą popularność wśród lubelskich miłośników. W odróżnieniu bowiem od Naleczowskiego Divertimentu, które jest przede wszystkim festiwalem kameralistyki i to decyduje o jego repertuarowym kształcie i obsadzie wykonawczej, impreza wrzesniowa ma raczej charakter quodlibetu. I tak już inauguracyjny koncert był zgola niekonwencjonalny: zaprezentował nam się mianowicie młodzieżowy zespół instrumentalny z Delft, grający na instrumentach perkusyjnych, gitarach, skrzypcach i całej gamie fletów prostych. Dyrygent zespołu, prof. Pierre van Hauwe, jest nie tylko pianistą i dyrygentem, ale przede wszystkim pedagogiem, twórcą rozwijającym koncepcje Orffa i Kodaly'a, dotyczące umuzykalniania dzieci i upowszechniania tym sposobem kultury muzycznej. Metoda jego — w największym uproszczeniu — polega na uczeniu muzyki poprzez atomizację jej struktury i ukazanie źródeł, czyli sposobów powstawania i kształtowania dźwięku, poprzez uwrażliwienie młodych adeptów na swoistą, niepowtarzalną kolorystykę brzmienia, rytm i logikę konstrukcyjną. Do realizacji tych celów prof. van Hauwe wyzyskał utwory oparte na ludowych motywach węgierskich, argentyńskich, meksykańskich i afrykańskich.

Laureat II nagrody ubiegłorocznego konkursu im. H. Wieniawskiego Piotr Milewski, wykonał *Koncert skrzypcowy D-dur op. 6* Nicolò Paganiniego. Niesłuchanie trudne fazolety, skomplikowane tryle i pochody terejowe czy sekstowe tego koncertu czynią zeń rodzaj sprawdzianu technicznych kompetencji skrzypka. Naturalnie cierpi na tym element formy, instrumentacji, wewnętrznej architektoniki dzieła, podporządko-

LUBELSKI WRZESIEŃ MUZYCZNY

Stefan Münch

wany bez reszty wirtuozowskiemu popisowi. Chętnie zatem sięgają po *Koncert D-dur „superwirtuozii”* w rodzaju Ruggerio Ricci czy Itzhaka Perlmana, u których — podejrzewam — biegnie palców nie zawsze idzie w parze z głębią interpretacji. Dla młodych zaś wykonawców jest ona możliwością ukazania zaawansowania technicznego. Dlatego Milewski najbardziej mógł zadowolić w I i III części, momentami grał wręcz porwijająco. Natomiast w *Adagio espressivo*, odznaczającym się mniejszym spiętrzeniem problemów technicznych, zabrakło nastrojowości i uspokojenia, pozwalających odetchnąć przed finałowym galopem *Ronda*. Młodemu soliście towarzyszyła Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Kieleckiej pod batutą Karola Anbilda i trzeba powiedzieć, że bynajmniej nie ułatwiała mu zadania. Słaba dyspozycja orkiestry ujawniła się również w *Symfonii D-dur „Pasterz nad Wisłą”* Jana Wańskiego, sympatycznym wypracowaniu muzycznym, obracającym się w kręgu stylistycznych możliwości wczesnego klasycyzmu. Ta typowo salonowa, pełna wdzięku i lekkości kompozycja, napisana na małą orkie-

strę kameralną, w wykonaniu kieleckich symfoniczistów brzmiała tonami poważnymi, ze skłonnością do forte, tak, jak należało by grać może *Zycie bohatera* czy w najlepszym razie *Idyllę Zygryda*. Te same zarzuty trzeba postawić *Symfonii g-moll K. V. 550* Mozarta: po pierwszej części (*Allegro molto*), nazwanej przez jednego z krytyków „szlochom spoza koronkowej chusteczki” (tu przypominała raczej potężny katar), na widowni wyczuwano się tęsknotę za ostatnim, kończącym akordem. Nie chciałbym być źle zrozumiany: doceniam trud muzyków z Kielc, którzy na pewno bardzo dobrze opanowali nutowy zapis utworów Wańskiego, Mozarta i Paganiniego. Gdyby jednak postarali się o coś więcej, niż mechaniczna zapisu tego reprodukcja, gdyby zrezygnowali tu i ówdzie z nieszczęsnego forte...

W programie Wrzesnia Muzycznego nie zabrakło i recitalu. Jewgienij Malinin, uczeń Henryka Neuhausa i laureat konkursu chopinowskiego w 1940 roku, wykonał *Sonata C-dur op. 53 „Waldsteinowską”* Beethovena, *IV Sonata c-moll op. 29* Prokofiewa oraz *Poloneza fis-moll op. 44*, *Scherzo b-moll op. 31*

ILUZJONISTA „Godziny” (pseudonim Kazimierza Piotra Godzoner) jak gdyby mieszkał w Gdańsku. Sam bowiem powiedział tak: „Niektórzy artyści jeden raz są pod wozem, drugi raz na wozie. A ja już ponad 20 lat ciągle w wozie — oczywiście cyrkowym”.

A teraz zdań kilka o wizycie w tym wozie. Otóż wczesnym latem 1977 r. zostałem zaproszony przez mistrza na program „Cyrku Wielkiego” (jednorazowo mieści się w nim 3 tysiące widzów) i potem do jego wozu na „nocne magików rozmowy”. Propozycja, co tu dużo mówić, była w gatunku tych „nie do odrzucenia”. Toteż skorzystałem z niej skwapliwie, tym bardziej chętnie, że zarówno samo widowisko, jak i wóz cyrkowy były dla mnie zawsze owiane swoistym romantyzmem. Już w czasie przerw w programie, gdy obserwowałem stojące wokół olbrzymiego namiotu wozy, naszała mnie refleksja, że nie różnią się one prawie niczym — poza ogumionymi kołami — od swego głośnego poprzednika z początku naszego stulecia, tzn. od wozu cyrkowego Michała Wojciecha Drzymały (nb. rozmyślnie podaje oba imiona, gdyż historycy na przemian zwą go Michałem, albo Wojciechem, a przecie był on dwojga tych właśnie imion). Po pierwszorzędnym przedstawieniu, o którym wspomnę jeszcze dalej, znalazłem się w przytulnym, acz ograniczonym przestrzennie wnętrzu domu na kołach. Mistrza, który rychło „wyczarował” czary wypełnione czymś krzepkim, zdawała się rozsadzać energia. Skłoniło mnie to do poczynienia na ten temat jakiejś, raczej mało znaczącej, uwagi. A wtedy on zaskoczył mnie najpierw pytaniem, czy wiem, kto wprowadził do obiegu społecznego i nauki termin „energia”? I nie czekając na odpowiedź energicznie wyrzucił z siebie: „Angielski fizyk, fizjolog i lekarz w jednej osobie, Thomas Young (1773—1829), twórca teorii interferencji światła, który — co już rzadko kto wie (a chyba nikt nie wie, dlaczego) — chodził w cyrku po linie”.

Tymczasem „Godziny” snuł, znajdując we mnie wdzięcznego słuchacza, swój monolog: „Wprawdzie — jak powszechnie niewiedomo! — iluzjoniści nie wywodzą się z cyrku (bo przez długi czas byli samowystarczalni i występowali solo lub z asystentami), jednak w XIX wieku trafili również na arenę i stąd do historii cyrku przynależą”. Następnie — celem przynajmniej częściowego wyjaśnienia olbrzymiej popularności cyrku i, co za tym idzie, jego rentowności — przytoczył zdanie Ernesta Hemingway'a: „Cyrk jest jedyną radością nie związaną z wiekiem, którą można kupić za pieniądze”.

Była parna, przedburzowa noc, a okna w wozie otwarte na oścież. Silniejszy podmuch wiatru spowodował równie raptowne, ile głośne zamknięcie się jednego z nich, co zwróciło mój wzrok w tamtym kierunku. Jednocześnie dojrzałem książki stojące na półkach zmyślnie skonstruowanej etażerki (coraz rzadszy to dziś już mebel!). Za pozwoleniem gospodarza sięgnąłem po kilka z brzęgu. Przeczytałem tytuły i nazwiska ich autorów. Pamiętam, że były tam między innymi: „Riek i Rock” (Wincentego Kosłakiewicza), „Cyrk przyjechał” (Mariana Promińskiego), „Wspomnienia kłowna” (Din-Donna, alias Edwarda Manca), „Cyrk, czyli emocje pradziadków” (Witolda Fillera) — co do której obaj mieliśmy niemalo zastrzeżeń merytorycznych — oraz świeżo wydane opowiadanie dla młodzieży pt. „Frico i inni” (An-

drzeja Lacha i Mariana Manca). Wszystkie one dotyczyły szerokiego wachlarza spraw związanych z cyrkiem i zarazem, choć dość marginalnie, traktowały o iluzjonistach. Krótkotrwałą wymianę zdań na ich temat zakończyliśmy zgodną opinią, iż krajowy rynek księgarski jest nader ubogo zaopatrzonej w książki o cyrku, a literatury fachowej z zakresu iluzji w naszych księgarniach w ogóle nie uświadczysz.

„Godziny” na arenie

Marek Zdrojewski



Fot. M. Gadzalski

Mistrz poczęstował mnie jeszcze — tym razem spełniając moje wyraźne życzenie — opowieścią o jego własnej teorii iluzji i własnej biografii artystycznej. „Nie mogę zgodzić się z poglądem, że iluzja w cyrku jest nieporozumieniem. Na poparcie mego „nie mogę” — wzięnie dla przykładu tylko kilku iluzjonistów — radzieckiego „Kio”, węgierskiego Paula Potassy, czeskiego „Okłame” czy polskiego Jerzego Królikowskiego — którzy okresowo lub stale z powodzeniem pracują na arenie. Uważam ponadto, że podział na iluzjonistów estradowych i cyrkowych jest sztuczny. Albo ktoś jest dobrym iluzjonistą i wówczas nim jest, albo wcale nim nie jest. Artysta iluzji musi mieć wyobraźnię graniczącą z fantazją, cechować się ambicją i wytrwałością, ustawicznie doskonalić sprawność rąk i szlifować technikę wykonywania poszczególnych tricków, ciągle nowelizować układ swego numeru (tj. zestawu tricków) oraz bezustannie rozszerzać repertuar, którego prezentacja powinna odbywać się w niepowtarzalny, a więc oryginalny sposób.

Kazimierz P. Godzoner urodził się w 1927 r. we Lwowie. Tam też, jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej, zauroczyły go występy podwórkowe magików. Pierwszym i zarazem jedynym jego nauczy-

ciem iluzji był Niemiec, znający nieco język polski. Niestety, nazwiska swego mistrza już dziś nie pamięta, czego zresztą wyjątkowo żałuje. Przecież wyłącznie dzięki niemu Godzoner zadebiutował z pałeczką magiczną w 1945 r. w Trondheim (Norwegia), urozmaicając kilkuminutowym pokazem iluzji na ogromnej scenie długi program dla żołnierzy wojsk sprzymierzonych.

Od 1958 r. występuje jako iluzjonista na arenie cyrku polskiego. Jego specjalność dodatkowa to... geografia Polski. Ale nie tylko. Czterokrotnie występował w Związku Radzieckim, dwukrotnie w Bułgarii, a niedawno powrócił z rocznego tournée po Finlandii. Naturalnie, w każdym przypadku wędrował z cyrkiem. Półprawdą w odniesieniu do Godzoner'a byłoby stwierdzenie, że tylko lubi cyrk. I wydaje się, że cyrk polski odważnie mu to uczucie. Za długoletnią pracę artystyczną w Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych w Warszawie (czytaj: w cyrku polskim) wyróżniony został dyplomem uznania. Poczytuje to sobie za dużą satysfakcję. Jedynym jego uczniem w dziedzinie iluzji jest Aleksander Sadowiczny, któremu jednak — mimo całej sympatii, jaką go darzy — nie może wybaczyć porzucenia cyrku. „W cyrku przecież — utrzymuje Godzoner — nie nabawiłby się zawału serca, który go dotknął w nowym miejscu pracy na stołku wicedyrektorskim”.

W 1977 r. pięćdziesięcioletni podówczas „Godziny” występował na największej polskiej arenie w „Cyrku Wielkim”. Pracował z asystentką — córką — Anną. Prezentował nader poprawnie i czysto (a „czysto” jest w tym przypadku słowem oznaczającym najwyższe uznanie) swój kunszt w zabawnym numerze. Między innymi „wyczarowywał” kaczkę i aż 9'gołębi. I tu anegdota. Gdy po programie w cyrku jeden z dziennikarzy zwrócił się do mistrza iluzji z pytaniem: „Czy to była istotnie normalna kaczka?”, otrzymał taką odpowiedź: „Panie redaktorze, w każdym razie to nie była kaczka dziennikarska!” A na pytanie: „Kiedy zdawał egzamin na iluzjonistę?”, odpowiedział: „Ja, panie redaktorze, taki egzamin składam codziennie przed publicznością, która jest chyba najbardziej wymagającą i surową komisją egzaminacyjną”.

Ostatnio otrzymał interesującą, bo nieźle płatną i atrakcyjną — lub lepiej: egzotyczną — propozycję pracy w Japonii i... zrezygnował. Na dobrą sprawę można by tego nie zrozumieć. A tymczasem „Godziny” na ten sam okres, już po odrzuceniu oferty dalekowschodniego impresario, bez wahania podpisał kontrakt na pracę w stołecznych lokalach rozrywkowych. Po prostu chciał być bliżej swej rodziny od której i tak corocznie rejsy cyrku odrywają go na długie miesiące. „Godziny” ma charakter.

Od 1 kwietnia 1978 r. rozpoczął 22 sezon pracy, tym razem w Warszawie, na arenie cyrku „Areny”. „Godziny” reprezentuje też pogląd, że dla artysty iluzji scena (lub estrada) to tylko gimnazjum, a dopiero arena jest prawdziwym uniwersytetem. Bo tylko na arenie trzeba być naprawdę iluzjonistą uniwersalnym. Bardzo żałuje, że w cyrku polskim z roku na rok pracuje mniej iluzjonistów. Wierząc, że sytuacja ta zmieni się wkrótce na lepsze — a to przede wszystkim dzięki skutecznym zabiegom dyrektora artystycznego Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych i zarazem nowo wybranego przewodniczącego Krajowej Sekcji Artystów Iluzji, Władysława Kieresa, „Godziny” sam pozostałe wierne cyrkowi. Oczywiście, cyrkowi objazdowemu, któremu w Polsce w tym roku stuknęło równo czterdziestą pięć lat.

KRONIKA KULTURALNA

ekran widz

Melodramat

„ze sfer studenckich”

PODCZAS granych niedawno w Lublinie „Scen z życia małżeńskiego” Ingmara Bergmana niektórzy młodzi widzowie opuszczali salę. Bo skojarzyli tytuł filmu z panoramą łózkowej ekwilibrystyki, a tymczasem mieli przed sobą psycho-socjologiczne studium dwójga ludzi usiłujących ułożyć sobie wspólne życie. Ci, zaś, którzy sceny z życia małżeńskiego rozgrywają na co dzień, mogą z kolei tylko chylić głowę przed Bergmana znajomością natury ludzkiej. Przed maestra, z jaką prowadzi ten długi, trudny, bardzo kameralny film — nieustający dialog współmałżonków. Ze już nie będą się rozwodził nad koncertem gry aktorskiej zaprezentowanym przez Liv Ullmann i Erlanda Josephsona.

Z filmu polskiego reżysera Gerarda Zalewskiego „Znaki zodiaku” nikt nie wychodził, bo też po prawdzie — mało kto na niego przychodził. Mimo atrakcyjnego — zdawałoby się — tematu sala lubelskiego „Kosmosu” świeciła pustkami.

„Znaki zodiaku” miały zapewne zainteresować przede wszystkim środowisko studenckie. Maria Horodecka napisała scenariusz przedstawiający historię studentki prawa, na dodatek tak zwanej „panny z dzieckiem”, którą opuścił ukochany, oficer marynarki handlowej, pływający wciąż w dalekie rejsy, a która pragnie odnaleźć swoje miejsce w życiu. Tym bardziej, że właśnie kończy przerwaną poprzednio z powodu ciąży studia i wkrótce będzie musiała wkroczyć w świat ludzi całkowicie dorosłych, podjąć pracę zawodową, określić się ostаточно. Tymczasem dziewczyna jest trochę uczuciowo rozdręcana, wydaje się jej, że nadal kocha lektwicę z handlowej marynarki, ale na co dzień posypia z pewnym młodym kompozytorem muzyki nowoczesnej. Jest on cholernie fajnym i dobrym chłopakiem, ale wszak i niechlężnym nudziarzem. Tak



Iwona Bielska w jednej ze scen „Znaków zodiaku”

czy owak, pewnej bardzo zimnej nocy, gdy wichur wyl demonicznie za oknami „em-dwa” zawieszono u szczytu wieżowca z wielkiej płyty, doszło między młodymi „do zbliżenia” (jak to zwykli dyskretnie określał redaktorzy „Filmowego Serwisu Prasowego”) i oto bohaterka ma kolejny dylemat do rozstrzygnięcia. Czy wyjść za mąż za dobrego, ale niekochanego, czy związać się na powrót z nieodpowiedzialnym ojcem dziecka. Bo oto marynarz wrócił z kolejnego dalekiego rejsu i domaga się przysługujących mu praw ojcowskich. Ukojenia szuka Magda na deskach studenckiego teatryku, ale i tutaj go nie znajduje. Jest starsza od współtowarzyszy, bardziej od nich doświadczona. W ostateczności porzuca i kompozytora i marynarza, który, choć pracownik uczciwy, to w iłowię mu tylko farsa, przygoda — i wzięwszy dziecko za rękę wyruszy z nim we własne, niezależne życie.

Dlaczego piszę tyle o fabule „Znaków zodiaku”? Bo w realizacji, ze słusznego założenia, z niebagatelnego problemu postawionego w przesłaniu filmu, z ambitnej myśli zawartej w scenariuszu (nb. nagrodzonym w konkursie „Oblicza młodych”, którzy w 1976 r. został ogłoszony przez Federację SZMP i Naczelny Zarząd Kinematografii), na ekranie pozostała historia matki-studentki, zresztą poprowadzony melodramat „ze sfer studenckich”, któremu towarzyszy ładnie poprowadzona kamera a i scenograf i kostumolog potrafil się umiejętnie znaleźć w „realiach”. Pozostała, niestety, sama „fabuła”, na którą się patrzy bez specjalnego wzruszenia i bez specjalnego zaangażowania. Można potem tylko zapamiętać treść filmu, ładną twarz debutantki Iwony Bielskiej (Magda), która zresztą nie zawsze sobie najlepiej radzi z dialogiem, oraz produkcję studenckiego teatryku, jaki tutaj „przedstawia” znaną Warszawską Akademię Ruchu. Może jeszcze ostatnią scenę, z wykorzystaniem jednej z „akcji ulicznych” Akademii Ruchu, tak dobrze wypadających zawsze właśnie w zapisie filmowym. Ale to, niestety, nie ma już wpływu na wartość filmu.

Wszyscy mieli rację: i scenarzysta, i operator, i aktorzy. Zabrakło racji artystycznej reżysera. Dzięki takiej racji jedna z najwybitniejszych dzisiaj przedstawicielek „kino kobiecego” Vera Chytilova, może bez nieczyjjej urazy wprowadzać akcję komedii do... kliniki położniczej, nie tyle szokując co pokazując kawał prawdy o życiu, a Ingmar Bergman przez dwie i pół godziny pokazywać na ekranie fascynujący dialog dwójga osób. Właśnie owa siła racji artystycznej naszego ich filmy wymowa trafiająca do widza z mocą prawdziwego dzieła sztuki.

Mirosław Derecki

Podczas tydzieńowej, osym-patycznej uroczystości otwarcia nowego roku kulturalnego i sezonu artystycznego Lubelszczyzny wzięto wzięcie udziału i nagrod. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski otrzymała Franciszka Smolnicka, kierująca Międzyszkolowym Domem Kultury „Bronowice” w Lublinie. 24 osobom przyznano odznakę Zasłużonego Działacza Kultury, 11 innym oraz Zespołowi Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej — odznakę „Za zasługi dla Lubelszczyzny”. Wojewódzkie nagrody społeczno-kulturalne za rok 1979 otrzymali: Mieczysław Dawidowicz — pianista Filharmonii Lubelskiej, Henryk Frąckiewicz — działacz kultury ze Stejczy, Zbigniew Frac — zastępca dyrektora przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa-Książka-Ruch” w Lublinie, Sławomir Mieliszko — reżyser i wykładowca Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS, Emilia Ochala — kierowniczka Gminnej Biblioteki Publicznej w Kurówie, Ludwik Paczyński — aktor Teatru im. Osterwy, Krystyna Postawkowa — kustosz Muzeum Okręgowego, Irosław Szymański — działacz kultury, Matylda Weina — pisarka i dziennikarka, Tadeusz Ziarkiewicz — profesor Akademii Rolniczej. Gratulujemy.

„Mamy sporo dobrze pracujących placówek terenowych (w tym — GOK), wyróżniających się gospodarnością, skutecznością działania w środowisku, podejmowaniem ciekawych inicjatyw. Piastka, Kazimierz, Swidnik, Poniatowa, Józefow — to przykładowe miejscowości. A reguła jest taka: tam dobrze pracuje placówka, gdzie urząd gminy naprawdę interesuje się sprawami kultury. Najlepiej, jeśli interesuje się sam nauczyciel” — zauważył w wywiadzie prasowym Mieczysław Białas, dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW w Lublinie. Święta prawda — bo np. gminni referenci ds. kultury i innych kwestii nie ma-

ją z reguły ani kompetencji, ani możliwości działania.

Mauser polskiej produkcji, pistolet vs. szabie kawalerskie, szteta, ciężki karabin maszynowy, broń automatyczna indywidualnego żołnierza, rusznica przeciwpancerna, granaty, amunicja — cały ten arsenał pokazano w Muzeum Okręgowym w Lublinie z okazji 35 rocznicy Wojska Polskiego. Wystawa przedstawia broń, którą walczyli nasi żołnierze na wszystkich frontach II wojny światowej. Pokaz ma charakter historyczny, a jak przebieg żywe refleksje powoduje.

Lubelski Teatr Lalki i Aktora im. Andersena powołał na III międzynarodowy festiwal bulgarskich sztuk lalkowych widowisko „Dokąd pędzi konik” Radu Moskowa, a przywiózł z Warny: medal złoty oraz trzy pierwsze nagrody za reżyserię (Włodzisław Felenczak), scenografię (Leszek Mądak) i muzykę (Mieczysław Mamurek). Naurode główna — do gajmy dla przywołności — otrzymał teatr z Białogostoku, który dysponuje takimi warunkami lokalowymi, jakie się lubelskiemu nie snily, choć i w tej materii idzie pono na lepsze... Swoją drogą to niekiepskie pomysły mają Bulgarzy, organizując takie własne festiwale.

Po sukcesach na Międzynarodowych Spotkaniach Teatru i Sztuki otwartej we Wrocławiu angielski Tripe Action Theatre z Mansfield pojawił się w lubelskiej „Chatce Zaka” z „Tytusem Andronicusum” według Szekspira, a także z filmami z niektórych swoich realizacji. Jak było na scenie, dowiemy się z recenzji, tymczasem zdejmujemy czapkę przed Komisją Kultury ZW SZSP, która sprowadziła grupę do Lublina.

Sądząc po drugiej premierze, kabaret „Kret” nieźle sobie pocz-

na (w piwnicach Lubelskiego Domu Kultury). „Nie ma to jak zdrowa zawieść” w reżyserii Piotra Suchory jest dowcipna, ostra miejscami, do słuchania i do oglądania. Publiczność też nie zawodzi, ale głównie fizycznie, co zresztą nikogo, kto choćby troszeczkę poznał środowisko bywalców podziemnych kondygnacji LDK, nie zaskakuje.

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Lublinie poinformował „Standardu Ludu”, że zlecone zostało opracowanie dokumentacji dla nie dookończony budowy amfiteatru w Parku Ludowym. Tymczasem, odezwał się z Warszawy dr inż. arch. Tadeusz Mycek: „Dokumentacja kompleksowa na budowę amfiteatru, o której mowa w notatce wydziału, została wykonana już w 1969 roku i nie ma powodu wykonywać jej powtórnie. Znajdując się w archiwach „inwestprojektu” — po ewentualnych korektach — może ona stać się podstawą do natychmiastowego rozpoczęcia robot realizacyjnych, kończących rozpoczęta w 1969 r. inwestycje”. Pan doktor Mycek pisze sensownie, ale życia to on chyba nie zna.

14 października odsłonięto w Lublinie pomnik Henryka Wieniawskiego, znakomitego skrzypka i kompozytora — który patronuje lubelskiemu Towarzystwu Muzycznemu, obchodzącemu właśnie 80-lecie wyjątkowo żywej i pozytywnej działalności. Odsłonięcia pomnika dokonali: I sekretarz KW PZPR w Lublinie — Władysław Kruk, wiceminister kultury i sztuki — Wiktor Zin oraz sekretarz KW PZPR — Ewa Krajewska. Autorem monumentu jest Janusz Pastwa. W tym też dniu rozpoczął się III Ogólnopolski Festiwal Młodych Skrzypków. Z okazji jubileuszu kilku zasłużonych działaczy Towarzystwa otrzymało wysokie odznaczenia, m.in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski wręczono Jackowi Osowskiemu.

KALEJDOSKOP

Kazimierz Braun RÓŻNE EUROPY LATEM

Jest Europa turystów. Tych, którzy podróżują, przenoszą się z miejsca na miejsce samolotami, samochodami, autokarami, pociągami, motocyklami i rowerami, stawkami i promami, pieszco, którzy odpoczywają, plażują, spacerują, wspinają się, trzęsą, kolyszą, którzy zwiedzają, gaplą się, snują, zaglądają, deptają, drepczą, tłoczą, rozglądają, którzy zajmują domki, bungalowy, przyczepy, namioty, kwatery, hotele, motele, nowotele, campingi, pokoje gościnnie, pokoje do wynajęcia, pokoje wolne, pokoje przestronne, pokoje ciasne, pokoje czyste, pokoje brudne, kajuty, przedziały, sale, korytarze i łazienki, którzy zaludniają muzea, zamki, kościoły (nie w godzinach nabożeństw), place, punkty widokowe, tarasy, schody, aleje, ulice, dworce, przystanki, a także bary, restauracje, kawiarnie, kafejki, bistra, self-servis, jadalnie, stołówki, kuchnie, którzy czynią tłok w sklepach, magazynach, przy kioskach, budkach, stoiskach, straganach, kramach, wokół ulicznych sprzedawców, wokół stacji benzynowych i przejść granicznych.

Reżyserzy, jak chcą, przerażają twórców. Myślny prze-

robili uboczną twórczość reżysera. Pomyślny tekst to ujęty w formę wiersza drugi akapit artykułu Kazimierza Brauna pod tym samym tytułem. Artykuł ten ukazał się w 41 n-rze wrocławskich „Wiadomości”.

Ciężki pędzel

Sfery muzyczne oraz dziennikarskie Lublina z entuzjazmem przyjęły wystawę malarstwa pewnego byłego trenera lekkoatletycznego, który zechciał pokazać to i owo podczas naszego „wrześniowego muzycznego”. Obejrzelismy dzieła — już przeniesione do innego lokalu, na LSM — i doszliśmy do absurdalnego wniosku, że łatwiej dźwigać np. kulę czy o-szczep, niż pędzel.

Za dużo błędów

„Standard Ludu” nr 228 tak pisze o galerii figur woskowych Madame Tussaud: „Stylny londyński gabinet figur woskowych ma — o czym mało kto wie... francuski początek. Przed blisko 170 laty uczenioca Philippa Curtinsa — pani Tussaud odziedziczyła galerię...” I dalej: „Wreszcie w 1842 r., gdy niezrównowadzone p. Tussaud miała już 83 lata, galeria otrzymała stałe miejsce w Londynie”. W tych trzech zdaniach aż roi się od błędów. Otóż galeria wywodzi się ze Szwajcarii, Filip Curtins (nie Curtins) był Szwajcarem pochodzenia niemieckiego i stamtąd przywiózł do Paryża woskowe figury, które później zawędrowały do Londynu (vide: Wielka Encyklopedia Powszechna Ilustrowana, Warszawa 1988). Pani Tussaud (nie Tussaud) była szostrenicą (nie uczenioca) twórcy gabinetu i dlatego właśnie odziedziczyła po nim figury. Galeria otrzymała stałe siedzibę w 1839 r. (o 7 lat wcześniej niż podaje „Standard”) i do dziś mieści się w tym samym budynku na Baker Street, znanej również z rezydencji — muzeum wszech-dokonałego Sherlocka Holmesa.

Trochę za dużo tych niescisłości, jak na skromną, dwuakapitową notatkę.

„Wypadek przy pracy”

Niezwykły przypadek gwałtu w jednym z kombinatów przemysłowych naszego makroregionu i jego reperkusje przedstawił „Kurier Lubelski” nr 221. Nie ma jednak racji Waldemar Ostrowski pisząc: „Proces — o ile do niego dojdzie — nie będzie miał precedensu w historii polskiej jurysdykcji”, z dalem: „Gdyby doszło do rozprawy sądowej a wyrok okazał się pomyślny dla Haliny B., nielibyśmy wówczas pierwszy w kraju wypadek uznania za ojca dziecka — rozumując zwracając — nie osoby fizycznej a urzędniczego państwowego...” Otóż przypominamy sobie, iż analogiczny „wypadek przy pracy” wydarzył się przed kilkunastu laty na wybrzeżu, bodajże w jednej ze stoczni. Sprawa była głośna i zasądzenie alimentów na rzecz poszkodowanej również miało miejsce. Pisały o tym w latach 60-tych „Kulisy”. Może więc warto odszukać akta i skoryztać z poprzednich doświadczeń?

Potęga C2H5OH

Wydawnictwo „Ślask” opublikowało niedawno książkę Andrzeja Domirskiego „Przybyśże z Kosmosu? Rzeczywistość czy fantazja?”. Dowiadujemy się z niej (str. 18), że ciśnienie atmosfery na Marsie wynosi 7 milibarów, tj. około 7 proc. ziemskiego. Z prostego obliczenia wynika, iż ciśnienie naszej atmosfery wynosiliby około 100 milibarów lub, jeśli ktoś woli stosować zgodnie z obecnymi zaleceniami uślad 81, 100 hektopaskali. Rzeczywiście fantazja! Alili już na str. 159 czytamy, że odkryto w Kosmosie już ponad 20 związków chemicznych (w co nie wątpimy), które stanowią podstawę życia. Wśród trzech wymienionych: alkohol etylowy. W tej sytuacji z czystym sumieniem możemy stwierdzić Erichowi von Dänikenowi: — na pewno nie jesteśmy jedyną cywilizacją we Wszechświecie.

POCZTA literacka

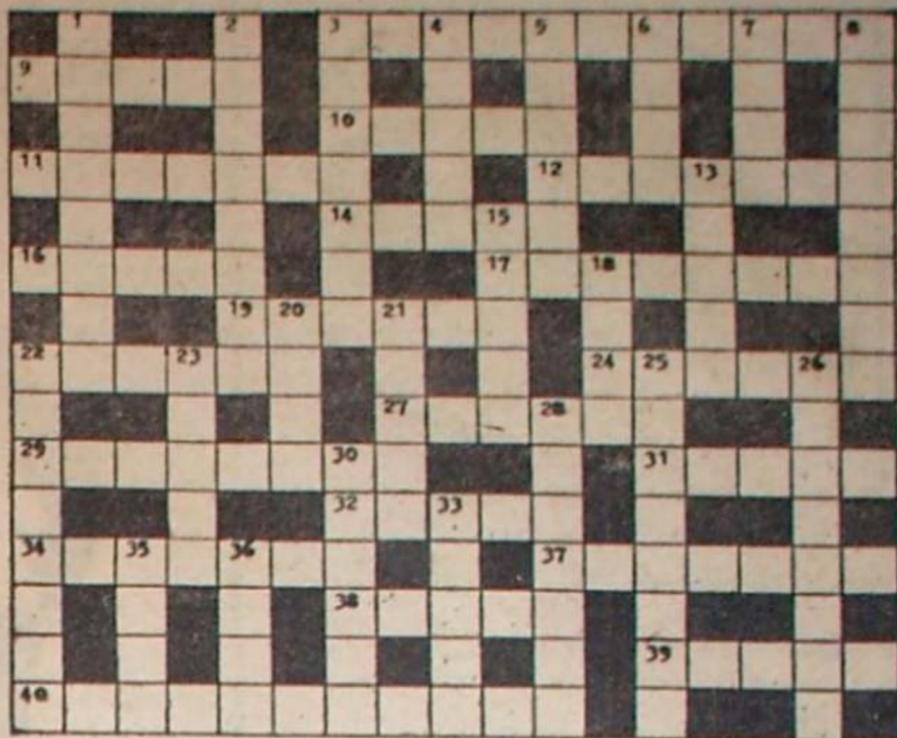


KRZYŻÓWKA (nr 22)

Początek: 9. piarska polska wykreślająca pod pseudonimem Dostyma, 5. gimnazyjnie się wybiera za morza, 18. białąską przyprowadza do potraw, 11. zetrzący młotek muralski, 12. miasto wojewódzkim, 14. odnoga ujścia Wisły, 15. należą do nasteru, 17. stęski polityk i przywódca, 19. kotleta lekka pociągów, 21. ciemnoniebieski kamień ozdobny, 24. planeta z pierścieniem, 27. rozbicie się organizm, 29. Gm-conda, 31. przestępcy zespół, 22. kodyfikacja z sympatyczną mordką, 24. bezcennie, 27. wyrabia biżuterię, 28. alimowy sprzęt sportowy, 29. kram rzetelna, 49. zakres pełnomocnictw i uprawnień.

Pionowci: 1. współczesny polski poeta i dramaturg, 2. generał, poeta z okresu Kosciuszki, 3. polska wytwórnia maszyn do szycia i pisania, 4. pisarz polski związany z ruchem socjalistycznym, 5. kolejowa dzielnica Warszawy, 6. jedno z wielkich jezior amerykańskich, 7. klub sportowy z Młocina, 8. duński pisarz baśni, 13. dawna złota moneta, 15. Wineta, 16. odmiana ustalona w hodowli, 20. deifny polowane na Muszcu, 21. dzieło plastyka, 22. nie lubi towarzystwa, 23. zdanie muzyczne, 25. pokarm bogów olimpijskich, 26. współczesny pisarz polski, autor „Starego i nowego”, 28. miasto w woj. pińskim, 29. jeden z taktów pracy silnika spalinowego, 32. wybitny poeta z przelomu XIX i XX wieku piszący w języku jidysz, 33. stolica europejska, 36. ziemia uprawna.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 18 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 28-550 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.



S. P. Końskowola. Przeskaczka literackiemu ujęciu skłonność ku wątkom sensacyjnym. Nie chce przez to powiedzieć, że zalety literackie łączą się z jakimś wyszczerzeniem fabuły, ustąpieniem dramaturgii, ale w tym tekście zamiar odczytania akcji powoduje opadnięcie wartości artystycznej. Miejsca, które Pan tak wyakcentowuje, są mniej ciekawe. Może spróbować innego rodzaju? Proponowałbym coś w konwencji serialu filmowego. Skoro ma Pan tyle zaangażowania w „dianie się”, ten rodzaj będzie odpowiedniejszy.

W. G. Hrubieszów. Wrogłem nr 1 pańskiej roboty poetyckiej jest panoramizm. Pan arytmetycznie sumuje obrazy nie dbając o wyprowadzenie z każdego maksimum efektu. W ten sposób nie dochodzi się do celu. Tylko w rozliczeniach finansowych wielokrotnym błędem można wypłacić dowolnie dużą sumę, w poezji potrzeba zdobyć się od razu na banknot o najwyższej wartości. A przynajmniej wiedzieć, że drobna moneta niczego nie zastąpi.

H. S. Bełżyce. Byłbym ciekaw pańskich prób literackich za parę miesięcy, bo widzę w nich pewne potencjalne zalety, ale na razie nie uświadomiłem, nie opanowane autorefleksja. Czy można mówić o talencie oddzielnie od dyspozycji intelektualnych? Wątpię. Wprawdzie talent to coś odziedziczonego z naturą, ale nie jednoznacznie z podświadomym transem, jak wyobraża, czy wyobrażał to sobie tzw. przeciętny czytelnik. Jestem pewien, że byłby Pan w kłopotach, gdyby spytał o którąś z ostatek wydanych książek, czy zawartość pism literackich. „Naturczyk” jest do przyjęcia w śpiewie, a i to z czasem musi swój głos poddać kształceniu. W piśnaniu jest to warunek jeden z pierwszych.

A. Z. Tarnów. Włożyć w słowa samego siebie to nie znaczy uznać się za jedyny godny przedmiot opisu. To posługiwać się sobą jako najspójniejszym, bo najniezwyklej danym medium do przekazywania prawdy o człowieku. Pan zdaje się uznawać tę pierwszą postawę. Dlatego w tych wierszach tyle pierwszej osoby bez jej podwójności. Ale z tym pańskim „Ja” trudno utożsamiać się czytelnikowi, zostaje on nieufnym świadkiem, a nie współuczestnikiem opisywanych stanów psychicznych. Liryka nie może rozwinąć się w egzystencyjną izolację. Liryka to czynność wykrywania w kimś wzruszeń, stanów, doznań, których ten ktoś sam w sobie nie podejrzewał, a z zdumieniem musi uznać, że je sobie dzięki czytaniu słowom uświadomił. Czy nie tak działają na nas prawdziwi poeci? Poezja jest zjawiskiem intersubiektywnym. „Ja” to tylko formułka gramatyczna, na usługach wielokrotności eksploracji i nawiazania tym ścisłego kontaktu z odbiorcą.

P. C. Lublin. „Kątem oka”, „prysnąłby, że”, „smułka sylwetka dziewczyny”. Można ułożyć cały słownik złożony z podobnych zwrotów na użytek niedzielników literatów. Pan popełnia ten błąd, że za literackie uważa wszystko, co odchodzi od języka potocznego. To „elegancja” miłaka i zdawkowa ma coś z landszaftów, na których labędzie ciągną gondole z parą kochanków. Czy w ten sposób da się coś wyrazić? Z pewnością ma Pan jakieś kłopoty w pracy, w domu, w środowisku, z pewnością był Pan świadkiem nie jednego zdarzenia, które w Panu wzbudziło sprzeciw, a może i odruch serdeczny. Tym językiem odda się Pan od spraw dla samego siebie listowych. „Smułka sylwetka dziewczyny” zostaje na papierze. Nie przejdzie do niczyjej wyobraźni.

G. L. Lubartów. Miał Pan zamiar opisać problemy środowiska młodzieżowego. Widać, że „upoważnienie” do tego Pan ma, ponieważ w opowiadaniu język, którego się tam używa i przytoczone reakcje mają wszelkie cechy autentyczności. Ale to nie wystarczy. Poza opisem została esła sprawa. Uformował Pan scenę, ustawił dekorację, dobrał odpowiednio światła. Tylko aktorzy nie wchodzi. A jeśli wchodzi, są niemi. Bo nie wystarczy użyć slangu, dodać trochę obyczajowych drastyczności itd. Tak samo, jak nie wystarczy wiernie przytoczyć rozmowy „spod budki z piwem”. Bo i te rozmowy niczego nie wyrażają. Tu trzeba wejść w skórę psychologa, socjologa, filozofa — wreszcie pisarza. Potrudził się o wydobycie na jaw tych treści, które drżą w głębi fermentują, które tylko strąca się w kostium tych dezygnatów i rozchlebia. Nie, żeby je usprawiedliwić. Żeby urzyć przyzwoity zwiastka. Dobrze opisał Pan fronton. Ale chciałbym znać pański pogląd na temat tego, co jest w domu.

T. K. Lublin. Niew poetycki da się w tym wyrzucić. Ale wiersz zamiast kulturalnym w poimie, opada. Może to niecierpliwość, może brak „przyjęcia się”. Nie można za wiele zaufać chwilowemu impulsowi. Powinien on być osobnościami do szerszego potencjału okiem po obszarze spraw impulsu wywołanych. Lancuch kolarek wie ste, nie doprowadza do przekonywającego wniosku.

Listy do kamery

O SZKOLE

Dyskusja prasowa wokół szkolnictwa trwa nadal, więc i ja chciałbym dorzucić swoje trzy grosze — z pozycji starego pedagoga, który niejedną zmianę programową i metodyczną w szkołach przeżył. Otóż, co może wielu z moich kolegów po fachu zaskoczy, uważam, że sprawa wyzwalania w uczniach inicjatywy i samodzielności w nauce jest trochę postawiona na głowie. Zachęca się młodzież do takiego działania, a kiedy nie sprawdzają się, otrzymują dwójkę. Moim zdaniem jest to nieporozumienie, które w ostatecznym rozrachunku zachęca uczniów do konformizmu, a nawet cwaniactwa. W ogóle uważam, że stopnie niedostateczne to bardzo wątpliwy bodziec do nauki. Znacznie lepszym jest granic — ale uciążliwe — na ambicjach młodych ludzi.

Inny problem to kompetencje nauczycieli. Uruchomiliśmy cały system podwyższania kwalifikacji pedagogów i na pewno przyniesie to dodatnie skutki. Niemniej jednak przy obecnym stanie wiedzy i ciągłym jej rozwoju nauczyciel nie jest w stanie być alfa i omega, czynnym w rodzaju aktualnej encyklopedii. Było to możliwe dawniej, kiedy nauka rozwijała się jeszcze w umiarkowanym tempie i nie istniał taki powszechny środek przekazu informacji, jakim jest telewizja. Dziecko usłyszy coś w telewizji i „strzela” potem pytaniem w nauczyciela, wobec którego on okazuje się być bezradny, bo po prostu nie widział akurat tego programu. I w ten sposób nikt nie autorzytet pedagoga — człowieka wszechwiedzącego. Mądry nauczyciel potrafi znaleźć się w takiej sytuacji, odsyłając dziecko do odpowiednich wydawnictw specjalistycznych — jeśli je zna, a nie zawsze tak bywa, porlewał za zapracowani po uszy, mocno przyćmięci bieżącymi obowiązkami. (...)

Tadeusz Chyliński
Przemyśl

AMATORZY?

Byłam niedawno w pewnym domu kultury na Lubelszczyźnie, konkretnie w Krasniku, gdzie robaczyłam wystawę haftów i różnych wyszywaneł, wykonanych, jak się okazało, przez starsze panie, skupione będą w klubie seniora, czy coś takiego. Nawet ładne były te prace, godne pokazania, więc właściwie nie byłoby sprawy. A jednak, moim zdaniem, jest. Do te prace były wyceńnione: po 300-400 zł, zresztą nieważne, po ile chciały autorki od sztuki, ważne, że w domu kultury urządzono wystawę handlową, przygotowaną przez kobiety, które należa do tzw. ruchu amatorskiego, obejmującego — podobno — ludzi bezinteresownie, z osobistej pasji zajmujących się twórczością. A takie fakty, coraz liczniejsze w kraju, nie tylko na Lubelszczyźnie, stoją w jawnej sprzeczności z ideą amatorsztwa. Dobrze, niech uzdolnieni ludzie „robą w sztuce”, ale jeśli chcą te swoje produkty sprzedawać, to skierować ich należy na targowisko, a nie do domu kultury. Mamy poza tym rozwinęty system pracy nakładowej, który przyjmie każdą liczbę hafciarek, dzidziarek, producentów zabawek...

Anna Jeleńska
Warszawa

„CZŁOWIEK O SUMIENIU SKRUPULATNYM”

Ze zdziwieniem przeczytałem artykuł red. Macieja Podgórskiego zatytułowany „Człowiek o sumieniu skrupulatnym”, który ukazał się w „Kamieniu” nr 19 z br. Moje zdziwienie związane jest z faktem, że powyższy artykuł w ogóle ukazał się i red. M. Podgórski otrzymał honorarium za pracę wykonaną jak najmniejszym nakładem, opierając swą relację na opowiadaniu pacjenta, u którego stwierdzono wyraźną osobowość psychopatyczną (bardziej sprzecywanoe rozpoznanie psychiatryczne było niemożliwe bez obserwacji klinicznej). Redaktor nie zadał sobie trudu sprawdzenia faktów podanych przez pacjenta Romana Wiśniewskiego.

Muszę wyjaśnić, że pacjent 34-letni, przedstawiony w artykule jako dzialek leżący „w zgodzie”, przebywa w naszym oddziale od 4 tygodni i o dobrej uległości świadczy fakt, że chory do tej pory nie ma odleżeń. Biorąc pod uwagę, że oddział nasz obejmuje opieką rejon byłego powiatu zamojskiego i hrubieszowskiego, hospitalizujemy

wielu ówczko chorych, którzy wymagają szczególnej troski. Obowiązkami te spadają na niezbyt liczny personel, bowiem tak jak w całym kraju chronicznie brakuje etatów do pracy w charakterze salowych. M. Podgórski miał nadzieję obejrzenia oddziału i przeprowadzenia rozmów z innymi chorymi, jednak uważał chyba ten trud za zbyt wielki i w przygotowaniu artykułu poszedł po najmniejszej linii oporu.

Chciałbym także podkreślić fakt, niebyłoby wyraźnie i dwuznacznie przedstawiony w artykule, że pacjent Roman Wiśniewski mimo niedyscyplinowania (szaberny psychiczny) został wypisany dopiero po tygodniowej obserwacji i wykonaniu wszelkich badań, które potwierdziły bezcelowość jego dalszej hospitalizacji.

Zdziwiony jestem, że redaktor artykułu, który uważa Romana Wiśniewskiego za „człowieka o sumieniu skrupulatnym”, nie skojarzył sobie, dlaczego taki człowiek od czterech lat nie pracuje, tylko w pracy innych chciałby wyzyskiwać krystaliczny porządek. Mimo pewnych niedociągnięć w funkcjonowaniu oddziału, które widziamy także sami, uważam, że zamieszczony w „Kamieniu” artykuł wyrażał krzywdę nie tylko pracownikom oddziału, ale także przyszył naszym pacjentom, u których brak zaufania do personelu leczącego będzie utrudniał prawidłową współpracę, niezbędną w skutecznej i prawidłowej terapii.

p. o. Ordynator oddziału gruźlicy i chorób płuc w Hrubieszowie
spec chor. płuc Jerzy Wikło

Nie pisałem artykułu o pacjentach i warunkach oddziału gruźliczego w hrubieszowskim szpitalu, lecz o osobowości i „przygodach” konkretnego pacjenta, który zetknął się z wyciekaniem usług świadczonych przez oddział. Dlatego zarzut, iż nie rozmawiałem z innymi pacjentami, uważam za bezpodstawowy. Sęk w tym, że Romanowi W. wydało się niemożliwe to, na co inni nie zwrócili uwagi.

Istnieje różnica między „wyraźną osobowością psychopatyczną” (termin p. Wikły) a „wyraźnymi cechami psychopatycznymi osobowości” (termin psychiatry). Zresztą p. Wikło sugeruje, że Romanowi W. jest chory psychicznie, a na oddziale panuje porządek. Tymczasem jedno i drugie mija się z prawdą.

W odpowiedzi czytam wprawdzie o „pewnych niedociągnięciach”, ale nie konkretnego o brudnych kubkach, przegniłych kapiach i piłamach, które zostały zbyt demagogicznym milczeniem.

Maciej Podgórski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechezye-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnego), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Maciej Podgórski, Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj otrzymują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach: — do 25 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następny. — do dnia 10 listopada poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty rocznej — 75.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”. Zakłady pracy instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorki indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub o doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-558 Warszawa. konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w niedzielę i dni wolne z godz. 14-16.

Wydawca RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie W. dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 2660.

Numer lamali: Mieczysław Psujek i Gabriela Łopaj, drukował zespół pod kier. Wacława Kopca.

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nac. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-33. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 26251

RYS. ZYGMUNT STANISŁAW PYTLIK



Witold Zechenter

Z zachowanych rękopisów

FRASZKI

PEWIEN SĘDZIA

Pewien sędzia błdził,
gdy sądził, że sądził.

ZWIĘZŁE O TOWARZYSTWIE PRZYJACIÓŁ
DZIECI

Jaki jest dzisiaj stan T.P.D.?
— Wszystko dać dzieciom STANTE PEDE!

NAWET, GDY...

Nawet, gdy przyjdzie taki czas,
że sztuczny księżyc nam zaświeci,
że ponad reaktorów las
elektronowy słowik wzleci
i magnetofonową pieśń
zaśpiewa w laserowej mgle,
gdzie Irwa cybernetyczny gaj —
to nawet sztuczne serce w nas
odezwie się,
kiedy powróci mrj...

LIRYK

Choć współczesnością oplątan,
wśród lirycznych ugrzązł fontan.

O PEWNYM WODEWILU

Naiwnie spytał pewien widz młody,
czy nazwa „wodevil” pochodzi od WODY?

RADIOWY PODZIAŁ

Co się kryje w radia planach,
w tej kulturalników znowie,
że dla wsi jest „W Jezioranach”,
dla miasta — „Ma’ysiakowie”?

WYTRWAŁY LIRYK

Pomimo krytyki bzdurzą
pełni swój liryczny urząd.

OKREŚLENIE TASZYSTY

Tworzący taszyzm
artysta-plastyk
zwać się powinien:
artysta-CHLASTYK.

FRASZKA HOMONIMOWA

Są tacy, co mniemają,
że wśród siebie mnie mają,
lecz to tylko moja poza:
ja jestem poza.

RYCERZ MOTORU

Wypił jół hasa
i hasa!

O JEDNYM Z DOMÓW KULTURY

W tym Domu Kultury
za dużo chaltury.

NON OLET

Wśród wzaiosłych hasel,
w idealów kole
nieestety pecunia
wciąż jeszcze non olet!

U KRAWCA

Zapłaciłem za ubranie,
lecz krawiec zwodzi mnie skrycie.
Wpadnę więc doń i zawolam:
— Ręce do góry! Pieniądze lub Szybie!

NAGROBEK POSIEDZENIARZA

Namiętnie tkwił na posiedzeniach
gadając i do pustych stołków,
wiece po długich a ciężkich GŁĘDZENIACH
powiększył grono MATOlków.

